

Książka pobrana ze strony
<http://www.ksiazki4u.prv.pl>
lub
<http://www.ksiazki.cvx.pl>

Edmund de Amicis
SERCE
OPOWIADANIA
MIESIĘCZNE
Tłumaczyła:
MARIA KONOPNICKA

KREW ROMAŃSKA

Tego wieczora dom Ferruccia cichszy był jeszcze niżeli zazwyczaj. Ojciec jego, który utrzymywał mały sklepik z prowiantami, udał się po zakupy do Forti, matka poniosła tam także małą Ludwisię do doktora, mającego jej operować chore oko, i ledwie nazajutrz z rana powrócić mieli oboje.

Północ była już blisko. Posługująca we dnie kobieta odeszła jeszcze o zmroku. W domu pozostał tylko trzynastoletni Ferruccio i stara babka jego, na obie nogi sparaliżowana.

Ten dom, to był właściwie – domek. Mały, parterowy domek stojący tuż przy gościńcu na dobrym strzału z fuzji od wioski, niezbyt dalekiej od Forti, które jest miastem Romanii.

Za całe zaś sąsiedztwo miał on zamieszkaną rudere, przed dwoma miesiącami zgorzała, na której widać było jeszcze napis: „Oberża”.

Poza domkiem był mały ogródek otoczony żywopłotem, do którego prowadziła niska, wiejska bramka; drzwi zaś sklepiku będące drzwiami domu wychodziły na gościniec prosto. Dokoła zaś rozciągała się okolica pusta, szerokie pola uprawne, zasadzone morwą.

Wieczór był wietrzny, dżdżysty, północ dochodziła już prawie.

Ani babka, ani Ferruccio nie spali jeszcze i siedzieli w jadalnej izbie, która była i kuchnią zarazem, przedzieloną od ogrodu małą stancyjką, zastawioną starymi gratami.

Ferruccio powrócił do domu ledwie o jedenastej po kilkogodzinnej wyprawie, a babka czekała na niego nie zmrużywszy oka, pełna niepokoju, przykuta do swego obszernego fotela, na którym spędzała dni całe, a często i kawał nocy, gdyż ciężka duszność nie zawsze pozwalała jej w łóżku się położyć.

Deszcz wzmagał się, wiatr bił nim w małe szyby okien: noc stała się zupełnie czarna.

Ferruccio powrócił zmęczony, zablocony, w podartej kurtce i z wielkim siniakiem na czole. Jak zazwyczaj, on i jego towarzysze ciskali na siebie kamieniami, najpierw dla zabawy, a potem przyszło do bijatyki; co gorsza, przegrał wszystkie swoje groszaki, a czapkę zostawił gdzieś w rowie.

W kuchni oświetlonej tylko małą lampką stojącą w rogu stołu, tuż blisko fotela – nie było zbyt jasno; a przecież biedna babka dojrzała natychmiast, w jak nędznym stanie wnuk wraca, i częścią sama odgadła, częścią dobyte szczegóły jego włóczęgi. Ogromnie babka kochała tego chłopca. Ile razy się z kim pobił, zawsze się splotała. I teraz także tak było.

– Ach, nie! – mówiła później po długim milczeniu. – Nie masz ty serca dla twej starej babki! Nie masz ty serca, kiedy w taki sposób korzystasz z tego, że nie ma w domu ojca ani matki, i tak mnie ciężko zasmucasz! Przez cały prawie dzień zostawiłeś mnie samą. Bez żadnego współczucia jesteś dla kaleki! Strzeż się, Ferruccio. Na złą drogę wchodzisz! Na drogę, co cię może zaprowadzić do smutnego końca. Stara już jestem... Widziałam niejednego, co tak zaczynał jak ty, a bardzo źle kończył. Zaczyna się od wałęsania poza domem, od ciskania kamieniami, od przegrywania groszy, a potem, powoli, powoli przechodzi się od kamieni do noża, od zabawy do hazardu, od gry do innych występków, do nadużyć aż i... do kradzieży!

Ferruccio stał i słuchał, o trzy kroki od fotela babki, oparty o kredens, z głową spuszczoną, z namarszczonymi brwiami, cały jeszcze rozgrzany świeżo stoczoną bójką. Piękne jego kasztanowate włosy spadały mu na czoło, błękitne oczy były nieruchome.

– Od gry prosta do kradzieży droga! – powtórzyła babka ocierając łzy ze starych oczu. – Pamiętaj, dziecko moje, o tym! Przypomnij sobie tę zakatę całej okolicy, tego Witka Mozzoni, który teraz po mieście się wałęsa; nie miał ci on dwudziestu czterech lat jeszcze, kiedy już dwa razy w więzieniu siedział; aż jego biedne matczyśko przeżyć tego nie mogło i serce jej pękło... Znałam ją! A jakże! A ojciec to aż gdzieś za morze wywędrował z tego wstydu i z tej desperacji! Pomyśl tylko o tym hultaju, którego ojciec twój pozdrawiać się wstydzi, choć go zna dobrze! Nie zobaczysz go inaczej, tylko w kompanii takich samych jak i on łotrzyków albo i gorszych jeszcze, aż do tego niechybnego dnia i terminu, w którym na galery pójdzie! Otóż znam go od dziecka, patrzyłam na niego. I tak samo zaczynał, jako ty zaczynasz! Bacz, chłopcze, abyś nie doprowadził ojca i matki do tego, do czego on doprowadził swoich rodziców.

Ferruccio milczał. Nie był to chłopiec zły. Przeciwnie, owszem. Całe też to jego urwisostwo wynikało raczej z nadmiaru życia, z dzikiej jakiejś fantazji, z

odwagi nieokiełzanej – a nie ze złych skłonności. Czuł ojciec jego, że syn w głębi serca zdolny jest do uczuć zacnych, a w danym razie do męskiego, szlachetnego czynu, i nie hamował go zbyt, czekając, aż sam osądzi przekroczenia swoje. Jakoż był to chłopiec dobry, ale uparty, samowolny strasznie, a choć mu się serce ścisnęło od żalu, nigdy słowo przyznania się do winy i prośby o przebaczenie przez usta mu nie przeszło. Nieraz miał duszę pełną najtkliwszych wyrazów, ale duma i zaciętość trzymały je jakby na uwięzi.

Tymczasem staruszka widząc go tak milczącym znowu zaczęła wyrzekać:

– Ach, Ferruccio! Żebyś też choć jedno słówko żalu przemówił! Jedno słówko skruchy! Widzisz przecie moje ciężkie kalectwo i że mi już mało do śmierci brakuje! I ty masz serce zasmucić do łez matkę twojej matki, starą babkę twoją, dla której dzień ostatni już bliski.

A jam cię kołysała, kiedyś był maleńki, i mówiłam zawsze: to będzie moja pociecha! A teraz – śmierć mi przyspieszasz! Nie żal mi życia. Oddałabym chętnie resztę dni moich, byleś był znowu tak dobrym, tak posłusznym dzieckiem jak wówczas, kiedy cię zaprowadziła po raz pierwszy do kościoła, pamiętasz, Ferruccio, a tyś mi kwiateczków i trawy do kieszeni nakładł, a jam cię śpiącego do domu na ręku przyniosła. Wtedy kochałeś jeszcze swoją babkę. A teraz, kiedy mi to kalectwo nogi odjęło, kiedy mi tak przywiązania twego trzeba jak właśnie powietrza do oddechu, kiedy już nikogo nie mam na ziemi, przez pół nieżywa... teraz... Boże mój!

Już, już miał się Ferruccio rzucić do kolan babki, tak go zwyciężyło wzruszenie, kiedy wtem wydało mu się, że słyszy jakiś szmer w owej zastawionej rupieciami stancyjce, która wychodziła na ogród. Nie mógł jednak pomiarkować, czy to okiennicą wiatr porusza, czy też co innego.

Nastawił ucha...

Deszcz ustawał. Szmer się powtórzył. Babka go słyszała nawet.

– Co to? – spytała zaniepokojona.

– To deszcz – zamruczał chłopak.

– A więc jakże, Ferruccio – przemówiła po chwili ocierając łzy – przyrzekasz mi, że będziesz dobry? Że już te stare oczy nie będą przez ciebie płakały?

Wtem nowy szmer dał się słyszeć.

– To nie deszcz chyba?!... – zawołała staruszka błędąc. – Idź no i zobacz!

Natychmiast jednak chwyciła go za rękę:

– Nie! Nie! Zostań tutaj...

I zostali tak wstrzymując oddech. Ale nie było słychać nic, tylko krople spadającej wody.

Wtem dreszcz przeszył serce obojga. I babce, i wnukowi wydało się, że podłoga w stancyjce skrzypnęła pod którymiś krokami.

– Kto tam? – zapytał chłopiec z trudnością odzyskując oddech. Nikt nie odpowiedział.

– Kto tam? – powtórzył Ferruccio na wpół zmartwiały z przestachu. Zaledwie wszakże słowa te wymówił, kiedy oboje z babką wydali okrzyk przerażenia. Dwóch ludzi wpadło do izby, jeden pochwycił chłopca i usta mu ręką zatknął, drugi zaś gardło staruszce zacisnął.

Pierwszy rzekł:

– Ani piśnij, jeśli ci życie miłe!

A drugi:

– Milcz! – i podniósł nóż nad kaleką.

Jeden i drugi mieli twarze obwiązane ciemnymi chustkami, że tylko oczy błyszczały złowrogo.

Przez chwilę słychać było tylko przyspieszony oddech wszystkich czworga, zmieszany ze szmerem słabnącego deszczu. Staruszka dyszała chrapliwie, oczy jej były wysadzone z głowy.

W tem złoczyńca trzymający chłopca zaszeptał mu do ucha:

– Gdzie ojciec pieniądze chowa?

Chłopiec szcękając zębami odpowiedział cicho:

– Tam... w skrzyni...

– Pójdź, prowadź! – rzekł człowiek.

I powłókł go do stacyjki trzymając mu rękę na gardle. W stacyjce stała ślepa latarka na podłodze.

– Gdzie skrzynia? – zapytał.

Chłopak pokazał skrzynię. Wtedy, żeby być pewnym chłopca, rabuś rzucił go na klęczki przed skrzynią, ścisnął mu kolanami szyję tak, że gdyby krzyknął, mógłby być zduszony, i trzymając nóż w zębach, a latarkę w jednej ręce, wydobyl drugą z kieszeni zakrzywione żelazo, podważył zamek, zakręcił, wyłamał, oderwał wieko, zaczął gwałtownie wszystko przewracać, naładował kieszenie, skrzynię zatrzasnął, a ścisnąwszy znów chłopca za gardło powłókł go tam, gdzie drugi trzymał w garści staruszkę na wpół zduszoną, z twarzą posiniałą i otwartymi ustami.

– Znalezione? – zapytał z cicha.

– Znalezione! – odrzekł tak samo towarzysz. I zaraz dodał:

– Pilnuj teraz wyjścia.

Puścił na to zbój staruszkę i pobiegł do drzwi od ogrodu, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, po chwili cichym, podobnym do gwizdnięcia głosem zawołał ze stancjki:

– Pójdź!

Wtedy ów, który jeszcze trzymał chłopca, pokazał mu nóż, potrząsnął nim przed staruszką z wolna otwierającą oczy i rzekł:

– Jeżeli które piśnie, wróć i zabiję! – I patrzył na oboje strasznymi oczyma.

W tej chwili wszakże dało się na gościńcu słyszeć śpiewanie wielu głosów.

Rabuś zwrócił się gwałtownie ku drzwiom, a w ruchu tym chustka opadła mu z twarzy.

– Mozzoni! – krzyknęła babka.

– A przekłeta! – ryknął poznany złoczyńca. – Musisz umrzeć!

I rzucił się z podniesionym nożem do staruszki, która opadła zemdlona.

Zbój cios wymierzył.

Zanim jednak ostrze noża jej dotknęło, Ferruccio krzyknął przeraźliwie i błyskawicznym rzutem zasłonił babkę swym ciałem.

Morderca umknął potrąciwszy stół tak, że lampka spadła i zgasła.

Chłopiec osunął się z wolna z łona babki, upadł na klęczki i tak pozostał, z rękoma obejmującymi ją wpół, z głową o jej kolana opartą.

Przeszło chwil kilka. Ciemność zalegała izbę. Śpiew idących wieśniaków rozplynał się z wolna po dalekich polach. Staruszka zbudziła się z omdlenia.

– Ferruccio! – zawołała ledwo zrozumiałym głosem szcękając zębami.

– Babciu! – odpowiedział chłopiec.

Staruszka usiłowała przemówić, ale zgroza paraliżowała jej język. Trzęsa się więc tylko przez chwilę w milczeniu. Nareszcie zapytała z wysiłkiem:

– Czy... już... ich... nie ma?

– Nie.

– Nie... zabili mnie? – zaszepotała jeszcze stłumionym głosem.

– Nie, babciu! Babcia jest... ocalona! – odparł Ferruccio słabym głosem. – Babcia żyje... Droga babciu... Tylko pieniądze zabrali. Ale... niedużo. Tata prawie wszystko z sobą wziął.

Staruszka zaczęła lżej oddychać.

– Babciu! – przemówił Ferruccio, ciągle jeszcze na klęczkach ściskając ją w pół rękoma. – Droga babciu! Babcia mnie kocha, prawda?

– Och, Ferruccio, biedny mój chłopczyzna! – odpowiedziała kaleka kładąc mu ręce na głowie. – Jakże się musiałeś przerazić! O Boże miłosierny! Zapal no światło, dziecko! Albo nie! Zostańmy tak jeszcze po ciemku. Jeszcze się boję.

– Babciu – rzekł chłopiec. – Babcia tyle zawsze miała zmartwienia ze mną.

– Nie, dziecko! Nie! Kto by tam o tym myślał teraz! Zapomniałam już o wszystkim, drogie dziecko moje. Moje ukochanie!

– Tyle zmartwienia miała babcia ze mną – mówił dalej Ferruccio głosem, który drżał – ale... ja przecież babcię zawsze kochałem. Zawsze... Babcia mi przebaczy? Niech babcia mi przebaczy!

– Ale tak, dziecko drogie! Przebaczam! Przebaczam ci z serca! Jakżebyś ja się na ciebie gniewać mogła? Podnieś się z kolan, drogi chłopczyzno, podnieś! Tyś dobry! Tyś bardzo dobry i kochany! Zapalmy światło! Nabierzmy odwagi! Wstań, Ferruccio, wstań!

– Dziękuję ci, babciu! – mówił chłopiec coraz słabszym głosem. – I jestem teraz taki szczęśliwy! Babcia zawsze pamiętać o mnie będzie... Nieprawdaż? Zawsze... pamiętać będzie babcia o swoim... Ferruccio...

– Ferruccio! Dziecko! Co tobie?! – zawołała niespokojnie staruszka i kładąc mu na ramionach ręce pochyliła się nad głową jego, jakby mu chciała w twarz spojrzeć.

– Niech babcia pamięta... – zaszeptał jeszcze chłopiec gasnącym głosem. – I uściska... mamę i... ojca... i Ludwisię... Bądź zdrowa... Babciu!

– Na imię boskie, co ci jest?! – zawołała babka podnosząc z trudem głowę chłopca, która jej na kolana opadła, a potem z nagłym przenikliwym krzykiem: – Ferruccio! Ferruccio! Ferruccio! Dziecko moje!... Kochanie moje... O, ratujcie mnie, wy rajscy anieli!...

Ale Ferruccio już nie odpowiedział. Mały bohater, zbawca matki swej matki, uderzony w krzyż nożem mordercy, oddał już Bogu piękną i gorącą duszę.

MAŁA WIDETA LOMBARDZKA

W 1859 roku, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, wkrótce po bitwie pod Solferino i San Martino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austriaków, w piękny poranek czerwcowy mały oddział konnicy z Saluzzo jechał stępą samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy.

Oddział prowadził oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wyteżonym wzrokiem w zupełnym milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austriackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku otoczonego wierzbami; przed nim stał dwunastoletni może chłopczyzna strugając nożem gałązkę, z której sobie widocznie chciał gładki kij zrobić. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy

sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo. Zapewne mieszkańcy wywiesiwszy chorągiew uciekli w obawie przed Austriakami.

Ujrawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z ogorzałą twarzą, z dużymi, niebieskimi oczyma, z jasnymi, długimi włosami, a przez otwartą koszulę widać było nagie jego piersi.

– Co ty tu robisz? – zapytał oficer zatrzymując konia. – Dlaczego nie uciekłeś razem z rodzicami?

– Ja nie mam rodziców – odrzekł chłopczyna. – Jestem podrzutkiem, sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby widzieć wojnę.

– A nie widziałeś ty Austriaków?

– Nie. Od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia i zostawiając swoich żołnierzy jak byli, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do domu, a stamtąd wydrapał się na dach. Dom był niski. Z dachu widać było tylko mały kawałek najbliższej okolicy.

Oficer znów myślał przez chwilę, patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, po czym nagle zapytał chłopca:

– Słuchaj, bąku! Masz ty dobre oczy?

– Ja? – odrzekł malec. – Ja o wiorstę wróbla dojrzę...

– A potrafiłbyś wyleźć na czubek tego drzewa?

– Na czubek tego drzewa? Ja?... Za pół minuty wylezę!

– A umiałebyś mi powiedzieć, co stamtąd widać? O tam! Chmury kurzawy, błyszczące bagnety, konie?...

– Co bym zaś nie miał umieć.

– A co chcesz za tę usługę?

– Co ja chcę? – powtórzył chłopiec i uśmiechnął się. – Nic nie chcę. Co mam chcieć! A zresztą, dla Szwabów to bym tego za żadne skarby nie zrobił. Ale dla naszych! Przecie ja jestem Lombardczyk.

– Dobrze. Włóżże prędko!

– Zaraz, tylko trzewiki zdejmę...

Zdjął trzewiki, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę w trawę i objął pień wierzby.

– Uważaj!... – krzyknął oficer chcąc go powstrzymać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.

Chłopiec obrócił się i spojrzał pytająco swymi pięknymi, niebieskimi oczyma.

– Nic już, nic – rzekł oficer. – Wyłaź dalej. Chłopak wdrapywał się jak kot na drzewo.

– Patrzeć przed siebie! – krzyknął wtedy oficer na swoich żołnierzy. W parę minut był już malec na samym wierzchołku. Uczepiony u samego czuba, stał pośród gęstwiny liści, lecz z piersią odkrytą, a słońce tak promiennie biło w jego jasną głowę, że była jak gdyby złota.

Oficer zaledwie mógł go dojrzeć, tak się na tej wyżynie maleńki wydawał.

– Prosto przed siebie patrz i daleko! Jak najdalej możesz! – krzyknął ku niemu.

Dosłyszał chłopak i żeby lepiej widzieć, puścił się prawą ręką drzewa i do czoła ją od słońca przystawił.

– Co tam widzisz? – zapytał oficer.

Pochylił się chłopak nieco ku niemu i osłoniwszy ręką usta z jednej strony, żeby głos łatwiej szedł, odpowiedział:

– Dwóch ludzi konnych na wielkim gościńcu.

– Daleko?

– Będzie z pół mili.

– Ruszają się?

– Nie, stoją.

– I co jeszcze widzisz? – Zapytał oficer po chwili milczenia. – Patrz teraz w prawo!

Chłopiec odwrócił się w prawo, po czym rzekł:

– Niedaleko cmentarza, pomiędzy drzewami, coś błyszczy... Coś jakby bagnety...

– A ludzi widzisz?

– Nie. Pewno się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który przesywszy wysoko powietrze, daleko gdzieś, poza domem, skonał.

– Złaź, chłopcze! – krzyknął oficer. – Dojrzeli cię! Nie chcę już nic więcej! Złaź zaraz!

– Kiedy ja się nie boję!... – odkrzyknął malec.

– Złaź! – powtórzył oficer. – A co widzisz na lewo?

– Na lewo?

– Tak, na lewo!

Chłopiec obrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili drugi świst, ostrzejszy i niżej, przeszył powietrze. Chłopak wstrząsnął się cały.

– Do kaduka! – zawołał. – Mierzają we mnie jak w drozda... Kulka przeleciała tuż, tuż...

– Złaź! – krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

– Zaraz zlezę! – odrzekł chłopiec. – Tylko żem się o gałąź zahaczył, proszę pana. Na lewo, chciał pan wiedzieć?...

– Na lewo, ale złaź! – krzyknął oficer.

– Na lewo – zawołał chłopiec odwracając się piersią w tę stronę – tam gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem i nagle chłopak począł na dół lecieć chwytając się gałęzi, po czym spadł głową na dół i z otwartymi ramionami.

– Przekleństwo! – krzyknął oficer skoczywszy ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko odrzuconymi rękami, nieprzytomny. Krew cienkim pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. A już wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli z koni.

Schylił się oficer, rozerwał chłopcu koszulę – kula karabinowa przeszyła mu lewe płuco.

– Nie żyje! – krzyknął oficer.

– Owszem, żyje! – odrzekł stary wachmistrz.

– Ach biedny, dzielny chłopcze! – wołał oficer. – Odwagi! Odwagi!

Ale gdy tak mówił: „Odwagi!” i przyciskał mu swoją chustką ranę, chłopczyna przytknęła oczy i opuściła głowę. Umarł.

Zbladł oficer i patrzył na niego przez chwilę, potem mu głowę miękko na trawie położył, podniósł się, stanął nad nim i znów patrzył.

Wachmistrz i dwaj żołnierze patrzyli także na chłopca stojąc nieruchomo. Inni zaś zwróceni byli ku nieprzyjacielowi.

– Biedny chłopczyna! Biedne, dzielne dziecko! – powtarzał oficer smutnie.

Po czym zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią jak całunem małe, nieżywe ciało, zostawiając odsłoniętą twarz tylko. Wachmistrz położył przy zmarłym jego trzewiki, czapkę, kijek na pół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, po czym oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł:

– Przyślemy po niego ambulans wojskowy. Zginął jak żołnierz. Pochowają go żołnierze. Będzie miał pogrzeb wojskowy.

To powiedziawszy przesłał ręką pocałunek od ust umarłemu i krzyknął:

– Na koń!

Skoczyli wszyscy na siodła, oddział się połączył i ruszył drogą. A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe. O zachodzie słońca posunęły się przednie strażę włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przebiegał z rana oddział kawalerii, posuwał się dwoma szeregami wielki batalion bersalierów, którzy kilka dni przedtem mężnie zdobyli Wzgórze św. Marcina.

Wiadomość o śmierci chłopca doszła już tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili swój obóz. Ścieżyna biegnąca wzdłuż jasnego strumienia o kilka tylko kroków oddaloną była od małego domku.

Więc kiedy pierwsi oficerowie tego batalionu zobaczyli małego trupka, jak leżał u stóp drzewa przykryty trójkolorowym sztandarem, oddali mu pokłon szpadami; jeden zaś z nich schylił się nad brzeg strumyka, zerwał parę kwiatów, których tam było pełno, i rzucił zmarłemu. Tak zaraz inni bersalierzy, jak szli, tak się schylali, rwali kwiaty i rzucali je tak samo. W kilka minut ciało chłopczyny było nimi zupełnie pokryte, a oficerowie i żołnierze idąc, tak mówili:

– Brawo, mały Lombardczyku!...

– Żegnaj, chłopczyno!

– Niech żyje sława!

– Żegnaj, mały żołnierzu!...

Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zasługi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle na bosa nożyny, na piersi skrwawione, na jasną główkę jego. A on jak gdyby spał na trawie, otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy, uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopczyna tę pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że życie oddał za Lombardię swoją.

MAŁY PATRIOTA Z PADWY

Pewnego razu parostatek francuski płynął z Barcelony, miasta hiszpańskiego, do Genui; a znajdowali się na pokładzie Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Szwajcarowie. I był tam między innymi chłopiec jedenastoletni, biednie odziany, sam, który się trzymał ciągle na uboczu jak leśne zwierzątko, poglądając na ludzi spode łba! Bo to było tak: przed dwoma laty jego ojciec i jego matka, wieśniacy z okolic Padwy, sprzedali tego chłopca bandzie linoskoków, którzy nauczywszy go przeróżnych sztuk to pięścią, to kopaniem, to głodem, wędrowali z nim przez Francję i Hiszpanię, bijąc go bez litości i jeść mu nie dając. Więc kiedy przywędrowali do Barcelony, ów chłopiec, nie mogąc wytrzymać tego bicia i tego głodzenia i wyniszczony do ostatka sił, uciekł od

swego dozorczy i oddał się w opiekę konsula włoskiego, który ulitowawszy się nad nim umieścił go na tym parostatku i dał mu list do kwestora w Genui, żeby tego biedaka do rodziców odesłał. Do tych rodziców, co go to sprzedali, jak gdyby był bydłem, nie człowiekiem. Biedny chłopiec był cały poraniony i ledwo się na nogach trzymał. Dali mu kajutę drugiej klasy. Patrzyli na niego ludzie, niejeden i zapytał o co, ale on nie odpowiadał. I tak się zdawało, że wszystkich nienawidzi i wszystkimi gardzi, tak mu dojadły i struły serce te razy i te głodzenia. Wszakże udało się trzem podróżnym przez uporczywe pytania rozwiązać mu jakoś język, tak że w kilku szorstkich słowach na pół włoskich, na pół hiszpańskich, a na pół francuskich opowiedział im swoją historię.

Ci trzej podróżni to nie byli Włosi, ale zrozumieli, co ten chłopiec mówił, i trochę z litości, a trochę z tego, że im wino szumiało w głowie, dali mu pieniędzy żartując i namawiając, żeby im jeszcze co więcej opowiedział. A że do sali weszło w owej chwili kilka pań, wszyscy trzej chcieli się pokazać i rzucali mu pieniądze wołając: – Trzymaj, chłopcze! Trzymaj jeszcze! – i pobrząkując lirami po stole.

Chłopiec napełnił kieszenie, podziękował półgłosem, zawsze jednak dziki, ale ze spojrzeniem pierwszy raz uśmiechniętym i wdzięcznym; po czym zaraz poszedł do swojej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, rozmyślając o swym dziwnym losie. Mógł teraz za te pieniądze nakupić sobie różnych łakotek, on, który przez dwa lata łaknął suchego chleba; mógł też kupić sobie w Genui ubranie, on, co od dwóch lat w łachmanach chodził; i także mógł przynieść je z sobą rodzicom, którzy pewnie inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby przyszedł z próżnymi rękami. Przecież te pieniądze to były dla niego jakby mały majątek. Tak to on sobie rozmyślał pocieszony, poza firanką kajuty, podczas kiedy trzej podróżni rozmawiali z sobą siedząc przy obiadowym stole w pośrodku sali drugiej klasy. Pili i rozmawiali o podróżach swoich, o krajach, jakie poznali, i od słowa do słowa zaczęli mówić o Włochach.

Zaczął jeden skarżyć się na oberże, drugi na koleje żelazne, a potem wszyscy wpadli w zapał i wygadywali na wszystko, co włoskie. Ten wolałby podróżować po Laponii, tamten opowiadał, jako w całych Włoszech są sami oszuści i złodzieje, trzeci prześmiewał się, że urzędnicy włoscy nie umieją czytać.

– Naród nieuków! – rzekł pierwszy.

– Brudasów! – rzekł drugi.

– Zło... – zaczął trzeci i chciał powiedzieć „złodziei”, ale nie dokończył słowa.

Grad soldów i półlirówek spadł im nagle na głowy, na plecy, potoczył się po stole, po pokładzie z piekielnym hałasem.

Wszyscy trzej skoczyli wściekli patrząc w górę, a tu im jeszcze na twarze runęła garść miedziaków.

– Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie swoje grosze! – krzyknął z pogardą chłopiec zerwawszy firankę swej kajuty. – Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy moją ojczyznę znieważają!

MAŁY PISARCZYK Z FLORENCJI

Przechodził kurs czwartej klasy w szkole elementarnej. Śliczny to był Florentczyk, z czarnymi włosami, a białą twarzą, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznych, który mając liczną rodzinę, a małą pensję, żył w niedostatku.

Ojciec kochał go bardzo. Pobłażliwy był dla niego i dobry. Pobłażliwy we wszystkim, tylko nie w tym, co dotyczyło szkoły. Na tym punkcie był surowym i wymagającym, bo chłopiec musiał nauki kończyć jak najprędzej i jak najprędzej objąć jakiś urząd, żeby pomagać rodzinie. A wiadomo, że kto chce prędko coś znaczyć, musi tego pracować i nie tracić czasu, lipiec choć się chłopiec uczył dobrze, ojciec jeszcze go i tak do nauki zapędzał. Bo sam już nie bardzo był młody, a w ciężkiej pracy czuł się postarzałym przedwcześnie.

Niemniej jednak, choć nią tak obarczony w swym urzędzie, brał jeszcze to stąd, to zowąd jakąś poboczną pracę, żeby tylko nastarczyć potrzebom domowym. Najczęściej było to przepisywanie, na którym mu część nocy schodziła codziennie, a nieraz i świt zastawał go przy nim.

W ostatnich czasach podjął się u jednego wydawcy dzienników i książek zapisywania na opaskach nazwisk i adresów abonentów; a za każde pięćset takich opasek, zaadresowanych dużymi literami i czytelnie, dostawał trzy liry. Ale robota owa bardzo go męczyła i często się na nią skarżył przed swoją rodziną.

– Tracę oczy – mawiał – dobija mnie ta praca po nocach. Aż jednego razu powiada do niego ów najstarszy synek:

– Tato, daj mi to robić za siebie! Wiesz przecie, jak ja ładnie piszę i zupełnie podobnie do ciebie. Ale ojciec odpowiedział:

– Nie, synu! Przede wszystkim nauka. Twoja szkoła daleko ważniejsza niżli te opaski; wyrzucałbym sobie, gdybym ukrócił choć godzinę. Dziękuję ci, ale nie chcę i nie ma o czym gadać.

A syn wiedział, że w tych rzeczach nie ma co się z ojcem upierać i nie upierał się.

Ale oto, jak sobie poradził.

Wiedział dobrze, że ojciec jego kończy pisanie o północy i idzie do sypialni ze swojej izdebki. Tego był pewny. Kiedy na wielkim zegarze wybiła dwunasta, słyszał zawsze odsuwanie krzesła od stołu i powolne kroki ojca.

Więc jednej nocy przeczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał cicho, ubrał się i po omacku poszedłszy do izdebki owej zapalił lampę, usiadł przy biurku, na którym bielił się stos opasek wraz z listą adresową, i niewiele myśląc zaczął pisać, naśladowując zupełnie pismo swego ojca.

I miło mu było pisać, i rad był, choć się i bał trochę, a opaski zapisane piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu kładł pióro, zacierał ręce, znów zaczynał pisać z zapalem, nastawiając ucha i uśmiechając się z lekka.

Zapisał sto sześćdziesiąt. Zarobił lira.

Przestał, położył pióro, skąd je wziął, zagasił światło i na palcach do łóżka powrócił.

Tego dnia w południe siadł ojciec do stołu w wybornym humorze. Nic a nic nie pomiarkował. Bo tę robotę wykonywał mechanicznie, na godziny ją mierząc, i często przy niej myśląc o czym innym, a dopiero nazajutrz liczył zapisane opaski. Siedząc tak wesół przy stole, poklepał syna po ramieniu i rzekł:

– Ech, Julku, jeszcze z twego ojca lepszy pracownik, niżes myślał!

W dwie godzin machnąłem wczoraj wieczór o trzecią część więcej roboty niż zwykle! Jeszcze moja ręka sprawna, a i oczy pełnią swoją służbę.

A Julek milczał, szczęśliwy, i tylko w duchu tak mówił; „Biedny tato! Nie tylko mu ułatwiam robotę, ale przyczyniam mu radości, że się młodszym i silniejszym czuje. Dobra nasza! Nie traćmy odwagi!”

Tak zachęcony powodzeniem czekał nocy, a gdy dwunasta wybiła, znowu wstał cicho i dalej do roboty. I tak przez wiele nocy wciąż, jedna po drugiej. A ojciec ciągle jeszcze nic nie miarkował. Raz tylko wychodząc po kolacji rzekł:

– Nie do uwierzenia, co nafty w domu wychodzi od jakiegoś czasu!

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się skończyła, a nocna robota szła dalej. Jednakże, przerywając tak sen każdej nocy, chłopiec nie wypoczywał dostatecznie; toteż raniem wstawał zmęczony, a wieczorem przy odrabianiu lekcji ledwo że otwierał oczy. Aż jednego dnia, pierwszy raz w życiu, usnął nad kajetem.

– Chłopak! Co ty!... – krzyknął jego ojciec. – Do roboty! Dalej, śpiochu!

Wstrząsnął się i do lekcji zabrał.

Ale następnego wieczora i później było znów to samo. A nawet było gorzej jeszcze. Drzemał nad książkami, wstawał późno, lekcje odbywał, aby zbyć, zdawał się zniechęcony do nauk.

Ojciec zaczął na niego uważać, potem zamyślać się, wreszcie wyrzucać mu lenistwo.

– Julku! – rzekł pewnego rana. – Co się z tobą stało? Już ty nie ten, co dawniej. Bardzo mi się to nie podoba. Bardzo mię to martwi! Zważ, że cała nadzieja rodziny na tobie spoczywa. Jestem z ciebie nierad! Rozumiesz?

Ten wyrzut, pierwszy raz tak ostrym wypowiedziany głosem, zmartwił nieboraka ogromnie.

„Prawda – pomyślał. – Nie może tak być dalej. Trzeba zakończyć tę pomoc i to złudzenie...”

Ale tegoż wieczora, jakby naumyślnie, ojciec wychodząc z domu rzekł bardzo wesół:

– Wicie ? W tym miesiącu zarobiłem tymi adresami o trzydzieści dwa liry więcej niżeli w zeszłym! – Co rzekłszy dobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, żeby dzieciom sprawić uciechę z powodu tak powiększonego zarobku.

Julek znów nabrał otuchy i rzekł sobie:

„Nie, drogi ojcze! Będę cię jeszcze łudził, jeszcze ci pomagał! Dobędę ostatnich sił, żeby lekcjami przez dzień nastarczyć, a nocami będę jeszcze pracował dla ciebie, dla mamy, dla braci...”

A ojciec tak mówił dalej:

– Trzydzieści dwa liry więcej, to nie bagatela! Cieszymy się, dzieci. Jedno z was tylko – tu wskazał ręką Julka – martwi mnie i smuci.

A Julek wysłuchał wyrzutu tego w milczeniu, połykając łzy, które mu się do oczu cisnęły, a jednocześnie uczul w sercu wielką, wielką słodycz.

I zapamiętałe pracować zaczął. Ale nowe znużenie, do dawnego znużenia dodane, coraz było trudniejszym do przewyciężenia.

Tak trwały rzeczy coś przez dwa miesiące. Ojciec strofował Julka prawie co dzień i patrzył na niego coraz niechętniejszym wzrokiem. Aż dnia pewnego poszedł do nauczyciela, żeby z nim pomówić o tym, a nauczyciel rzekł:

– Owszem, lekcje odrabia, bo to inteligentne dziecko, ale tego dawnego zapału do nauki nie ma. Drzemie w klasie, nie uważa, jest roztargniony. Ćwiczenia pisze coraz krótsze, aby zbyć, i bazgrze je po prostu. O, jestem pewny, że mógłby przy dobrej woli zupełnie inaczej się uczyć!

Tego wieczora wziął ojciec chłopca na stronę i tak do niego mówił, z niebywałą u niego powagą:

– Julku! Wszak widzisz, jak ja pracuję, jak sobie życie skracam dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi ułatwić tego. Nie masz serca ani dla mnie, ani dla matki, ani dla braci!

– Ach nie! Nie mów tak, tato! – zawołał Julek wybuchając płaczem i już otwierał usta, żeby wyznać wszystko, ale ojciec przerwał mu i rzekł:

– Wiesz, w jak ciężkich warunkach żyjemy. Wiesz, że aby wyżyć, trzeba dobrej woli i poświęcenia wszystkich w rodzinie. Wiesz, że ja sam musiałem podwoić pracę. Tego miesiąca liczyłem na sto lirów gratyfikacji z kolei, a dowiedziałem się, że nie dają żadnej.

Usłyszawszy to Julek cofnął wyznanie, które już mu się na usta cisnęło z duszy, i w mgnieniu oka odzyskując siłę woli rzekł sam sobie:

„Nie, tato! Nic ci nie powiem! Będę jeszcze pracował tajemnie dla ciebie. Za to strapienie, jakie ci sprawiam, wynagrodzę ci pomocą w twych trudach. W szkole i tak promocję dostanę. Pierwsza rzecz i najpilniejsza, pomagać ci w utrzymaniu nas wszystkich i ulżyć ci w tej pracy, która cię zabija!”

Od tej rozmowy przeszło znowu dwa miesiące. Dwa miesiące nocnej pracy i dziennego wyczerpania, rozpaczliwych wysiłków dziecka i gorzkich wymówek

ojca. Gorsze jednak od wymówek było to, że ojciec stawał się dla syna coraz ozięblejszy, że rzadko tylko odzywał się do niego, jakby to było dziecko stracone dla jego serca, po którym nic dobrego spodziewać się nie można, tak że unikał nawet spojrzenia na niego.

Widział to Julek i cierpiał; a kiedy ojciec odwrócił się od niego, przesyłał mu ręką pocałunek nieśmiały podnosząc ku niemu wzrok smutny i pełen miłości. Chudł przy tym i coraz był bledszy z powodu tej pracy i tego cierpienia, a w miarę ubytku sił coraz bardziej zaniedbywać się musiał w nauce. Zrozumiał wreszcie nieszczęsny chłopczyzna, że trzeba mu się zrzec tej pracy tajemnej, i co dzień wieczór mówił sobie:

„Tej nocy już będę spał. Nie wstanę”.

Zaledwie jednak wybiła dwunasta, zamiast powziąć odważnie to postanowienie, ucywał wyrzuty. Zdawało mu się, że leżąc tak w łóżku uchybia jakiemuś ważnemu obowiązкови, że wprost wydziera tego lira ojcu i rodzinie.

I wstawał cicho, i myślał, że przecież którejkolwiek nocy ojciec obudzi się i na pisaniu go zastanie; że spostrzeże się przecie kiedyś przeliczywszy z wieczora napisane przez siebie opaski, a tak wyda się i skończy naturalnie wszystko, samo przez się, bez jego przyczynienia, bez tego aktu woli, do którego nie miał dosyć siły. I tak ciągnęło się dalej.

Aż pewnego dnia ojciec wyrzekł, jakby naumyślnie, słowa, które zdecydowały chłopca ostatecznie. Było to tak: matka popatrzyła na Julka, a że jej się zdawał jeszcze bledszy, jeszcze mizerniejszy niż zwykle, rzekła:

– Julku, tyś chory, dziecko... – I zwróciwszy się do ojca dodała: – Julek musi być chory. Zobacz tylko, jaki bledy! Julku mój drogi, co tobie? Ale ojciec rzucił tylko raz okiem na niego i rzekł:

– Kto ma złe sumienie, ten nie może być zdrow. Nie było tak dawnymi czasy, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

– Ależ on chory! – zawołała matka.

– Nic mnie to już nie obchodzi – odpowiedział ojciec. A biednemu chłopczyźnie, gdy usłyszał te słowa, zdawało się, że mu utkwił nóż w sercu. Ach, nie zniesie tego już dłużej. Nie może! Ojciec jego... ten ojciec, który drżał dawniej, kiedy chłopak zakaszłał tylko... Nie kocha go już więc... Nie ma się co łudzić. Umarł więc w sercu swego ojca... – „Ach nie, ojczu! – rzekł sobie chłopiec ze ściśniętym jakąś śmiertelną bojaźnią sercem – teraz już naprawdę wszystko skończone, bo żyć nie mogę bez twojej miłości. Zdobędę się na siłę, powiem ci wszystko, nie będę cię dłużej oszukiwał, będę się uczył jak pierwej! Niech się dzieje co chce, byleś mnie kochał po dawnemu, drogi mój, najdroższy ojczu! Ach, teraz już jestem zdecydowany na wszystko!”

Ale jeszcze tejże nocy, z nawyknięcia po prostu, wstał; a gdy wstał, poszedł raz jeszcze popatrzeć wśród ciszy nocnej na tę małą izdebkę, gdzie tak długo skrycie czuwał i pracował, z sercem pełnym radości najtkliwszej. A gdy przystąpił do stolika i zapalił światło, i zobaczył te czyste opaski białe, na których już nigdy nie miał pisać nazwisk ludzi i miast, tych nazwisk, które już na pamięć umiał, zrobiło mu się okropnie smutno i chwycił nagle za pióro, żeby zwykłą swą pracą rozpocząć. Ale w ruchu tym potracił książkę, a książka spadła na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Ojciec mógł się obudzić!... Nie

zaszedłby go, prawda, na żadnym złym uczynku; owszem, on sam postanowił powiedzieć mu wszystko. A przecież usłyszeć kroki jego w ciemności... być tak przydybanym w tej ciszy, o tej godzinie... Zbudzić i przestraszyć matkę... i może jeszcze widzieć, po raz pierwszy, upokorzenie ojca wobec siebie, gdy wszystko się wyda... Na tę myśl skamieniał po prostu. Ale nie posłyszał nic. Nasłuchiwał przez chwilę u drzwi, które miał za sobą – nic!

Cały dom był głęboko uśpiony.

Zaczął więc pisać z pośpiechem, a opaski piętrzyły się przed nim. Tak pisząc słyszał miarowy krok straży miejskiej w pobliskiej pustej uliczce, potem turkot powozu, który nagle ustał; w chwilę później ciężki turkot wozów posuwających się jeden za drugim, a potem jeszcze głębszą ciszę, przerywaną od czasu do czasu dalekim szczekaniem psa. I pisał, pisał...

A tymczasem ojciec jego stał za nim. Zbudzony stukiem upadającej książki, przeczekał on czas jakiś, wszedł do izdebki w chwili, kiedy turkot wozów tłumiał jego kroki, i stał tam, z swoją siwą głową ponad ciemną główką syna i widział, jak pióro jego biega po opaskach, i w jednej chwili odgadł wszystko, wszystko przypomniał, zrozumiał, a niezmierna żałość i tkliwość zalała mu duszę przykuwając go, bez tchu, za plecami syna. Aż naraz Julek krzyknął przeraźliwie. Dwoje ramion objęło mu głowę w gwałtownym uścisku.

– O tato, tato, przebacz mi! – zawołał chłopiec poznając ojca po płaczu.

– To ty mi przebacz! – odrzekł ojciec łkając i pokrywając pocałunkami jego czoło. – Zrozumiałem, wszystko wiem, wszystko, i to ja, ja żądam przebaczenia twego, święte moje dziecko! Pójdź, pójdź w moje ramiona.

I dźwignął go, i w ramionach zaniósł do łóżka zbudzonej matki, rzucił go w jej objęcia i rzekł:

– Ucałuj to anielskie dziecko, które od wielu miesięcy nie sypia i pracuje po nocach za mnie, a jam zasmucał jego serce, jego, co na chleb zarabiał dla nas...

Matka przycisnęła go do piersi nie mogąc słowa przemówić z wielkiego wzruszenia, po czym rzekła:

– Spać, droga dziecino, spać!... Zanieś go do łóżeczka jego...

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do izdebki jego, położył go w łóżko całując go i pieszcząc, poprawił mu poduszkę i otulił kołdrą.

– Dziękuję, tato, dziękuję! – powtarzał Julek. – Idź już sam spać! Idź, tato! Dobranoc!

Ale ojciec pragnął go widzieć uśpionym; usiadł więc przy jego pościeli? wziął rękę jego i rzekł:

– spij synu, śpij!

A Julek, zmęczony, usnął wreszcie i spał długo, pierwszym od tylu miesięcy snem cichym, spokojnym... A sny miał miłe, radosne, śmiejące. A kiedy oczy otworzył, a słońce dość już wysoko było na niebie, najpierw uczył, a potem

zobaczył, tuż przy piersiach swoich, na brzegu łóżeczka siwą głowę ojca, który tak noc całą spędził i spał jeszcze, czołem o serce syna oparty.



O SARDYŃSKIM DOBOSZYKU

W pierwszym dniu bitwy pod Custozzą, 24 lipca 1848 roku, sześćdziesięciu żołnierzy jednego regimentu naszej piechoty, wysłanych dla zajęcia samotnego domu na wzgórzu, zostało napadniętych zniemacka przez dwie kompanie armii austriackiej, które razily ich strzałami karabinowymi z różnych stron tak, że zaledwie mieli czas w domu owym się schronić i zabarykadować zostawiając po drodze kilku rannych i kilku zabitych.

Zapartłszy drzwi jak było można, rzucili się nasi gwałtownie do okien tak na dole, jak na pierwszym piętrze i rozpoczęli żywy ogień przeciw napastnikom. Ci jednak zbliżali się w porządku, zachodząc półkolem i odpowiadając ogniem równie silnym.

„Włoskim oddziałem dowodziło dwóch niższych oficerów i kapitan, wysoki starzec, suchy i surowy, z siwym wąsem i z siwą czupryną. A był z nimi doboszyk, z Sardynii rodem, chłopak nieduży, mało co więcej nad lat czternaście mający, a tak drobny, że wyglądał ledwo na dwanaście, ze smagłą, prawie oliwkową twarzą i czarnymi, skrzącymi oczyma. Kapitan kierował obroną z izby na pierwszym piętrze, rzucając krótkie rozkazy jak pistoletowe strzały, a w jego marsowym obliczu nie widać było żadnego wzruszenia.

Doboszyk, trochę pobladły, ale zwinny w ruchach, skoczył na stół, wyciągnął szyję i chwycił za parapet okna, żeby zobaczyć, co się za nim dzieje. Jakoż zobaczył skrós dymu białe mundury austriackie zbliżające się zwolna przez pola.

A dom stał na urwistym wzgórzu, na samym wierzchołku, po stronie zaś najbardziej stromej wzgórza tego miał tylko jedno małe okienko w izdebce pod samym dachem. Może też i dlatego Austriacy nie grozili tej stronie domu, prażąc ogniem front jego i oba boki.

A był też to ogień prawdziwie piekielny: grad ołowiu, który dziurawił mury i strącał dachówki zewnątrz, wewnątrz zaś gruchotał sufity, sprzęty, drzwi i okna, ciskając w powietrze kawały drzewa, chmury wapna, ułamki cegieł i szkła, świszcząc, skacząc, rwąc w sztuki, co na drodze, że głowa pękała od trzasku. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy strzelających z okien upadał w tył na posadzkę, a wtedy przenoszono go na stronę. Wielu z nich dźwigało się znowu i chwiejąc przechodziło z izby do izby rękoma przyciskając rany. W kuchni leżał już jeden zabity, z roztrzaskanym czołem. Nieprzyjaciel ścisnął swe półkole.

Aż naraz kapitan, który dotychczas był niewzruszony, zaniepokoił się i wyszedł pośpiesznie z izby, prowadząc za sobą sierżanta.

Za chwilę przybiegł sierżant i zawoławszy małego dobosza dał mu znak, żeby szedł za nim. Chłopak poprzedzony przez sierżanta skoczył na drewniane schody i wszedł na puste poddasze, gdzie kapitan pisał coś ołówkiem na arkuszu papieru, oparty przy owym małym okienku, a przy nim sznur od studni.

Skończywszy pisać kapitan złożył papier i przejmując chłopca na wylot swymi szarymi, zimnymi oczyma, przed którymi drżeli wszyscy jego żołnierze, zawołał:

– Doboszu!

Dobosz przyłożył palce do skroni.

– Masz odwagę? – zapytał kapitan nie zdejmując z niego wzroku. Oczy chłopcu rozbłysły.

– Mam, kapitanie!

– Patrz tam! – rzekł kapitan pociągnawszy go do okienka. – Widzisz, tam w dole, blisko pierwszych domów w Villa Franca, te błyski bagnetów? Tam stoją nasi. Bierz papier, chwyć się sznura, spuść się okienkiem, przeleć zbocze wzgórza, pole, dobiegnij do naszych i daj tę ćwiartkę pierwszemu oficerowi, jakiego zobaczysz. Rzucaj pas i tornister!

Doboszyk w mgnieniu oka odpiął pas i tornister, wsunął papier za pazuchę, sierżant przerzucił sznur na zewnątrz i obu rękami trzymał górny jego koniec, a kapitan pomógł malcowi przeleźć przez okienko.

– Słuchaj – rzekł. – Ocalenie całego oddziału zależy od twych nóg i od twojej odwagi!

– Licz na mnie, kapitanie! – odpowiedział chłopak zawieszając się u sznura.

– A przychyl się w biegu! – zawołał jeszcze kapitan podtrzymując sznur z sierżantem razem.

– Ojej! Czemu nie? – odkrzyknął malec.

– Niechże cię Bóg prowadzi!

Za chwilę doboszyk był już na ziemi, sierżant sznur ściągnął, a kapitan przyłgnawszy niemal wąsami do szyby okienka ujrzał chłopca, jak zbiegał ze wzgórza. Już pewien był, że się uda, że chłopca nikt nie spostrzeże, kiedy kilka białych obłoczków dymu, wznoszących się z ziemi przed biegnącym i poza nim, przekonało go, że Austriacy spostrzegli małego dobosza i że strzelają do niego. Ale chłopiec pędził na skręcenie karku. Nagle padł.

– Zabity! – ryknął kapitan ściskając pięście. Nie domówił jednak jeszcze tego słowa, kiedy chłopiec zerwał się i pobiegł znowu.

– Ach, upadł tylko! – szepnął kapitan i odetchnął wolno.

A chłopak leciał co siły, lecz utykał nieco.

„Stłukł nogę...” – pomyślał kapitan.

Jeszcze kilka obłoczków dymu podniosło się za chłopcem tu, to tam, ale już w oddali.

Był ocalony.

Kapitan wydał okrzyk triumfu. Nie ustawał wszakże patrzeć za nim i drżał, bo każda chwila była droga. Jeśli nie dobiegnie jak najprędzej z wezwaniem o natychmiastową pomoc, dzielni jego żołnierze padną jeden po drugim albo też będzie musiał wraz z nimi oddać się w niewolę.

A chłopiec biegł. Biegł czas jakiś jak wiatr, potem wolniej i kulejąc mocno. I znów się zebrał i biegł, ale znać było, że mu sił ubywa i zatrzymywał się coraz, coraz częściej.

„Musiała go drasnąć jakaś kula” – pomyślał kapitan, z drżeniem prawie siedząc wszystkie jego ruchy, i pobudzał go, mówił do niego, przynaglał, jak gdyby chłopiec mógł być go dosłyszeć, mierząc rozognionym okiem przestrzeń między biegnącym chłopcem a tymi błyskami bagnetów, które dostrzegł w dolinie wśród pól pszenicznych ozłoconych słońcem.

A tymczasem świst kul i huk strzałów wstrząsał izbami pod nimi; a rozkazy oficerów gwałtownie ścierały się z ostrymi jękami ranionych i trzaskiem sprzętów, i łomotem cegieł.

– Dalej! Prędzej! – krzyczał stary dowódca ścigając wzrokiem biegnącego dobosza.

– Leć! Śpiesz! Przekleństwo! Znów się zatrzymał... Ach! Biegnie znowu!... Prędzej!...

Wtem wszedł oficer donosząc, że nieprzyjaciel nie przerywając ognia wywiesił białą chorągiew i do poddania się wzywa obłożonych.

– Nie odpowiadać! – wrzasnął kapitan wściekle, nie odrywając oczu od biegnącego chłopca, który był już w dolinie, lecz nie biegł, owszem, zdawał się wlec ledwie. – Ależ spiesz!...

Ależ leć, nieszczęsny! – krzyczał kapitan ściskając zęby i pięści. – Zgiń, trupem padnij, łotrze, ale doleć! Ach, tchórz niegodny!... Ach, tchórz!... Siadł znowu!...

A chłopiec, którego głowę wzniesioną widział ciągle ponad pszennym łanem, rzeczywiście z oczu mu zniknął, jakby padł na ziemię. W tej chwili przecież zobaczył ją znowu, tę głowę wzniesioną, aż póki jej w oddaleniu nie zakryły zboża.

Wtedy zbiegł gwałtownie ze schodów. A tam, na piętrze, kule grzmiały, izby pełne były rannych; niektórzy z nich kręcili się w kółko jak pijani czepiając się sprzętów kurczowo; ściany i podłogi zbryzgane były krwią; trupy zawały przejścia; młodszy porucznik miał prawe ramię zdruzgotane strzałem, a dym i proch grubą chmurą zakrywały wszystko.

– Odwagi! – krzyknął kapitan. – Nie ustępować! Stać w miejscu! Posiłki idą! Odwagi!...

Tymczasem Austriacy jeszcze się przysunęli bliżej. Wyraźnie teraz poprzez obłok dymu widać było ich złowrogie twarze, skrósł huku strzałów dawały się słyszeć dzikie ich okrzyki, urągające małej załodze i grożące rzezią.

Kilku przerażonych żołnierzy cofnęło się od okna, ale sierżant zastąpił im drogę i zawrócił z miejsca. Powoli ogień obleżonych słabł, a zniechęcenie malowało się na wszystkich twarzach. Niesposób było przeciągać obronę.

Wtem kanonada austriacka zwolniła, a jakiś głos grzmiący krzyknął zrazu po niemiecku, a potem po włosku:

– Poddajcie się!

– Nigdy! – zaryczał kapitan z któregoś okna. I na nowo zaczęła się palba, wścieklesza i bardziej zabójcza niż przedtem. Kilku naszych żołnierzy znów padło.

Niejednemu już oknu zabrakło obrońców, a kapitan wołał zduszonym rozpaczą głosem:

– Nie przyjdą! Nie przyjdą!

I biegał jak szalony ściskając konwulsyjnie rękojeść szabli, gotów umrzeć raczej niż się poddać. Wtem zbiegł sierżant z poddasza krzycząc co miał siły:

– Idą! Idą...

– Idą! – powtórzył krzyk ten wódz stary, nieprzytomnym od radości głosem.

Na krzyk ten wszystko, co jeszcze resztę ducha miało w sobie, zdrowi, ranni, oficerowie, żołnierze, rzucili się do okien, a ogień morderczy zagrział raz jeszcze.

I oto w kilka chwil można było dostrzec niepokój, a potem zamieszanie pomiędzy oblegającymi.

Natychmiast kapitan zebrał garść ochotników w dalszej izbie, żeby zrobić wycieczkę i bagnetami odeprzeć Austriaków od wzgórza, po czym znów na schody skoczył.

Zaledwie wpadł do izby, kiedy usłyszano gwałtowny tętent, któremu towarzyszyło przeraźliwe... hurra! a z okien ujrzano skrós dymu dwurożne czapki karabinierów włoskich, szwadron kawalerii pędzącej co pary w koniach i piorunowe błyski szabel kręcących w powietrzu młyńce i spadających na karki, na głowy...

W tejże chwili ochotnicy wypadli z pochylonymi bagnetami, a nieprzyjacielskie szeregi zachwiały się, zmieszały i zaczęły uciekać w popłochu. Wkrótce potem plac boju został oczyszczony, dom wolny, a dwa bataliony włoskiej piechoty i dwa działa zajęły wzgórze.

Ale stary kapitan złączywszy się ze swoim regimentem walczył jeszcze wraz z tą garstką mężnych, jaka mu została; a nawet jakaś zbłąkana kula zraniła go lekko w lewą rękę, w czasie starcia na bagnety.

Dzień skończył się triumfem naszych. Ale nazajutrz rozpoczynając bój na nowo, Włosi, pomimo nadludzkich wysiłków odwagi, zwyciężeni zostali przez przeważające siły austriackie, zaś rankiem 27 zaczęli smutny odwrót ku Mincio.

Dzielny kapitan, lubo ranny, szedł pieszo razem z żołnierzami swymi, znużony i milczący, a przybywszy pod wieczór do Quito, nad Mincio, natychmiast zaczął szukać swego porucznika, który, zabrany przez nasz ambulans jako ranny w rękę, w pierw od niego nadciągnąć tam już musiał. Jakoż wskazano mu kościół, w którym był urządzony naprędce lazaret wojenny. Poszedł. Kościół przepełniony był rannymi, których ułożono w dwa szeregi, już to na łózkach, już na materacach leżących wprost na posadzce. Dwóch lekarzy i kilku posługaczy uwijało się tutaj, a z różnych stron słychać było stłumione krzyki i jęki.

Zaledwie wszedłszy zatrzymał się kapitan u progu i patrząc dokoła szukał porucznika swego, gdy wtem jakiś głos cienki i słaby zawołał tuż przy nim:

– Panie kapitanie!

Obrócił się – był to mały dobosz.

Leżał on wyciągnięty na tapczanie kozłami podpartym, okryty po pierś czerwoną firanką z kościelnego okna, ręce i ramiona miał odkryte, twarz zbladła i wychudła, ale oczy zawsze błyszczące jako perły czarne.

– Tyżeś tu, chłopcze? – zawołał kapitan zdumiony. I zaraz dodał surowym swoim głosem:

– Brawo! Spełniłeś powinność.

– Com mógł, tom zrobił. Nic wielkiego... – odrzekł mały dobosz.

– Byłeś ranny? – rzekł kapitan szukając wzrokiem swego oficera na bliskich tapczanach.

– A cóż robić! – odpowiedział chłopiec, któremu dodawała odwagi do mówienia ta ogromna radość, że dostał pierwszą, i to prawdziwą ranę, bez czego nie śmiałyby oczywiście ust otworzyć wobec kapitana. – Chociaż przychylałem się jak mogłem, i tak mnie zobaczyli zaraz. Byłbym o dwadzieścia minut wcześniej doleciał, żeby mi nie wpakowali kulki. Szczęście jeszcze, że zaraz znalazł adiutanta ze sztabu i że mogłem mu oddać tę kartkę. Ale niech licha porwie, jaką miałem drogę! W gardle mi zaschło, umierałem z pragnienia, bałem się, że już nie doleczę; płakałem z wściekłości, myśląc, że każda minuta opóźnienia dla tych tam, co walczą na wzgórzu... No i jakoś się dowlokłem. Chwała Bogu! Ale, za przeproszeniem pana kapitana! Pan kapitan ma rękę skrwawioną...

Istotnie, ze skaleczonej ręki kapitana, spod zrobionego naprędce opatrunku sączyło się kilka kropel krwi po jego palcach.

– Ja panu kapitanowi mocniej obwiążę! Pan kapitan pozwoli... Kapitan podał rękę lewą chłopcu, a prawą wyciągnął, aby mu pomóc odwiązać zbyt luźny węzeł bandaża i poprawić go.

Ale chłopiec zaledwie głowę uniósł od poduszki, zbladł mocno i opadł znów na nią.

– Dość już, dość! – rzekł kapitan widząc to i usuwał zawiązaną rękę, którą mały dobosz chciał przytrzymać. – Pamiętaj ty o sobie, zamiast o innych, bo nawet i małe draśnięcie może mieć złe skutki, kiedy je zaniedbasz.

Chłopiec wstrząsnął głową.

– O musiałeś ty, biedaku, niemało krwi stracić – dodał kapitan spojrzawszy na niego uważnie – kiedyś taki słaby!

– Czym stracił dużo krwi?... Ech, panie kapitanie, żeby tylko tyle! Niech no pan kapitan spojrzy!

I ściągnął owo pokrycie.

Kapitan cofnął się krokiem w tył, przejęty zgrozą. Mały dobosz miał już tylko jedną nogę, prawą. Lewą amputowali mu aż do kolana; krwawe szmaty owijały tę straszliwą ranę...

W tej chwili przechodził mimo lekarz wojskowy, mały człowieczek, opasty, bez surduta, w kamizelce tylko.

– A, panie kapitanie – mówił szybko, zbliżając się do małego dobosza – oto brzydki przypadek! Noga mogła być na pewno wyleczona, i to w najkrótszym czasie, gdyby jej chłopak nie był sforsował w tak głupi sposób. Ale co z takim?... Ranny był, a leciał... przyszło zapalenie, gangrena i trzeba było uciąć. No, ale chłopak zuch! To trzeba mu przyznać.

Żeby zapłakał, żeby zakrzyknął, nie! Najdzielniejszy włoski chłopak, jakiegom kiedykolwiek operował, słowo honoru! Dobra w nim krew!

I spiesząc się odszedł.

A kapitan namarszczył wielkie siwe brwi i utkwił spojrzenie w chłopcu naciągnawszy na niego przykrycie, po czym, jakby mimowolnie i ciągle patrząc na małego dobosza, podniósł rękę do głowy i zdjął kepi.

– Panie kapitanie! – wykrzyknął zdumiony chłopiec. – Co pan kapitan robi?... Przede mną?...

A wtedy ów szorstki żołnierz, który nigdy łagodnego słowa nie wyrzekł do swoich podwładnych, odpowiedział głosem niewypowiedzianie słodkim i wzruszonym:

– Kapitanem tylko jestem, a ty... bohaterem! – To mówiąc rzucił się z otwartymi ramionami na małego dobosza i po trzykroć ucałował jego pierś, tam gdzie bije serce.



OD APENINÓW DO ANDÓW

Przed wielu laty chłopiec jeden Genujeńczyk, mający lat trzynaście, syn robotnika, wybrał się z Genui do Ameryki, sam, aby odszukać swą matkę.

Matka jego przed dwoma laty wywędrowała do Buenos Aires, stołecznego miasta Republiki Argentyńskiej, aby tam przyjąć służbę w jakim bogatym domu i zarobić w krótkim czasie tyle, żeby poratować jakoś swoją rodzinę, przywiezioną do ostatniego ubóstwa i zadłużoną nawet skutkiem różnych nieszczęść.

Nie ma u nas w kraju jest odważnych kobiet, które się puszczają w tak daleką drogę z tym samym zamiarem, i dzięki wysokiej zapłacie, jaką tam otrzymuje uzdolniona służba, po niewielu latach wracają do domu z kilkoma tysiącami lirów.

Kiedy biednej matce przyszło się rozstać ze swoimi synami, z których jeden miał lat osiemnaście, a drugi jedenasty kończył, zapłakała krwawymi łzami z serdecznego żalu, wszakże wiedząc, że to dla ich dobra, ruszyła w drogę mężnie i pełna nadziei. Podróż była pomyślna. Za ledwie stanąwszy w Buenos Aires odważna kobieta, za pośrednictwem mężowskiego krewniaka, który od dawna był tam osiedlony, znalazła dobrą służbę u jakiejś argentyńskiej rodziny, gdzie płacono ją hojnie i obchodzono się z nią życzliwie. Rada była tedy i przez czas dłuższy pisywała do rodziny regularnie donosząc o powodzeniu swoim. Jeszcze przedtem umówili się oboje, że mąż będzie posyłał listy na ręce owego krewniaka, który je doręczy żonie, żona zaś będzie oddawała odpowiedź także krewniakowi temu, a on ją do Genui pośle dodawszy co nieco od siebie.

Tak zarabiając osiemdziesiąt lirów miesięcznie, a nie wydając na siebie nic, posyłała dzielna kobieta co kwartał do domu wcale ładną sumkę, z której mąż, człowiek uczciwy, spłacał co pilniejsze długi odzyskując z wolna dobrą opinię i niecierpliwie wyglądając chwili, w której żona wróci, gdyż dom bez niej wydawał się pusty, a młodszy z synów, ogromnie przywiązany do matki, tęsknił za nią bardzo i nie mógł do tego rozłączenia nawyknąć w żaden sposób.

Ale po upływie roku, po krótkim liście, w którym kobieta zawiadamiała swoich, że niezupełnie jest zdrowa, wiadomości od niej przestały nadchodzić.

Pisali dwa razy do owego krewniaka – i on nie odpowiedział.

Pisali do owej rodziny argentyńskiej, u której kobieta służyła, ale nie wiadomo, czy list doszedł, czy nie, nazwiska bowiem nie pamiętali dobrze, dość że i stamtąd nie mieli żadnej wieści.

Wtedy w obawie nieszczęścia napisał ojciec do konsulatu włoskiego w Buenos Aires o zarządzenie poszukiwań, wszakże po trzech miesiącach tyle się dowiedział tylko, że na ogłoszenie dane przez konsulat do tamtejszych gazet nikt się nie zgłosił i że nie znaleziono żadnego śladu zaginionej.

I nie mogło też być inaczej! Dobrej kobiecie bowiem przyszło do głowy, żeby dla ocalenia rodzinnego honoru, który wejście do służby poniżać jej się zdawało – zmienić nazwisko i podać inne zgoła tam, gdzie przebywała.

Przeszło kilka miesięcy bez najmniejszej wieści. Ojciec i synowie byli bardzo zmartwieni, młodszy zaś z tęsknoty niezwykłej zapadał na zdrowiu. Co czynić? Do kogo się udać? Pierwszą myślą ojca było jechać i szukać żony w Ameryce. Ale robota? I kto przez ten czas utrzymywałby dom i dzieci? Nie mógł też jechać syn starszy, który właśnie coś niecoś zarabiać zaczął i. był potrzebny rodzinie.

I tak w ciężkiej tej trosce żyli z dnia na dzień, powtarzając to bolesne pytanie: „co czynić?” – i patrząc na siebie w milczeniu. Aż raz wystąpił mały Marek i rzekł rezolutnie:

– Ja pojedę do Ameryki i wyszukam mamę!

Ojciec pokiwał głową ze smutkiem, nie odpowiadając. Tak! To był pomysł serdeczny, ale rzecz – nie do wykonania! W trzynastu latach sam do Ameryki, kiedy podróż trwała miesiąc blisko!

Ale chłopiec nie ustępował. Nalegał tego dnia, nalegał drugiego, trzeciego, nalegał co dzień, z wielką bystrością rozumując jak dorosły człowiek.

– Pojechało już tam wielu i młodszych ode mnie! – mówił. – Jak tylko już na okręcie będę, to przecież dopłynę, czym mały, czy duży. Nie bójcie się, już mnie tam dowiozą!

A jak już tam będę na miejscu – cóż to? Nie potrafię to odszukać owego krewniaka? Przecież tam tylu Włochów jest, to mi pierwszy lepszy pokaże ulicę! A jak do niego trafię, to jakbym trafił do mamy!

Gdybym zaś nie znalazł, to prosto pójdę do konsula i dopytam się o tych państwa, gdzie mama była. Co się stanie, zresztą, to się stanie, a tam roboty nikomu nie zbraknie. Znajdę robotę i ja i zapracuję tyle przynajmniej, żeby do domu wrócić! – I tak po trochu, po trochu, prawie że przekonał ojca.

Ojciec mu ufał. Wiedział, że chłopiec jest roztropny i odważny, widział też, że do niedostatku, do biedy nawykł od dzieciństwa i że do spełnienia zamiaru tego znajdzie siły w sercu, dla którego odnalezienie ukochanej matki było świętym celem. Zdarzyło się przy tym, że kapitan parostatku, udającego się na morze, posłyszawszy coś o tym od znajomego, zobowiązał się dać chłopcu darmo bilet trzeciej klasy aż do Argentyny. I tak ojciec po krótkim wahaniu przystał, a podróż została zdecydowana. Naładowali małemu Markowi pełną torbę żywności, dali mu do kieszeni kilka skudów, zaopatrzyli go w adres krewniaka i pewnego pięknego dnia, w kwietniu, odprowadzili go na pokład okrętu.

– Synu mój, Marku drogi! – mówił ojciec ściskając go raz jeszcze na schodach parostatku z pełnymi łez oczyma. – Sprawże się dobrze! Jedź z Bogiem! Syna, co matki szuka. Pan Bóg nie opuści!

*

Biedny Marek! Miał serce mężne i przygotowane na najcięższe próby w tej podróży, ale kiedy piękna jego Genua zniknęła mu z oczu, kiedy znalazł się na pełnym morzu, wśród tłumu emigrantów zapełniających cały parostatek – sam, nie znany nikomu, z tą małą torbą, która zamykała w sobie całe jego mienie, ogarnęła go wielka żałość i wielkie zwątpienie. Jak pies bezpański leżał przez dwa dni na przedzie pokładu nie mogąc nic przełknąć, a tylko mu się chciało płakać, płakać. Różne myśli chodziły mu po głowie, a jedna smutniejsza od drugiej; a najcięższa z nich i najsmutniejsza wracała uporczywie, ciągle: myśl, że matka jego, kto wie – nie żyje już może...

W niespokojnych, przerywanych snach swoich widział ciągle twarz jakiegoś nieznanego, który pochylał się nad nim, patrzył ze współczuciem, mówił mu do ucha: „Twoja matka umarła!” – A on się budził tłumiąc krzyk rozpaczny.

Dopiero kiedy okręt przebył Cieśninę Gibraltarską i wypłynął na Ocean Atlantycki, nieco nadziei, nieco otuchy wstąpiło w ducha Marka. Na krótko wszakże. To niezmierzone, ciągle jednostajne morze, ten wzrastający upał, ten ścisk tłumu biedaków, który go otaczał, a nade wszystko uczucie zupełnej samotności i oderwania od swoich, pograżyły go prędko w stan bliski rozpaczny. Więc te dni puste, jednostajne, wlokące się po sobie bez żadnej odmiany tak

mu się mąciły w pamięci, jak się to chorem przytrafia. Zdawało mu się, że już rok przynajmniej po tym morzu płynie. I każdego ranka budząc się zdumiony był na nowo, że jest sam wśród tych wód niezmiernych i płynie do Ameryki oto!

Te śliczne, latające ryby, które czasem spadały na pokład, te nadzwyczajne zachody i wschody słońca w pobliżu równika, te mgły srebrzyste wieczorów, te zadziwiające fosforescencje morza w nocy, wszystko to zdawało mu się być nie zjawiskiem rzeczywistym, lecz dziwem przyśnionym tylko. Ale potem było gorzej jeszcze. Potem przyszły dni dżdżyste, podczas których ciągle przebywał w zamknięciu międzypokładowym, gdzie wszystko trzęsło się i przewracało i gdzie nie słyszał nic prócz wyrzekania i straszliwych kłótni. Wtedy to myślał biedak, że ostatnia godzina jego już nadeszła.

A potem znów zmiana. Dnie ciężkie, duszne, skwar nieznośny, morze gładkie, żółtawe, bez ruchu, milczące, w martwym powietrzu brak tchu, nuda nieskończona; dnie posępne, śmiertelne, ciężkie nie do udźwignienia, w ciągu których pasażerowie rozciągnięci nieruchomo na podłodze, na ławkach, zdawali się trupami. A drogi nie ubywało jakby. Niebo i morze, morze i niebo, dziś jak wczoraj, jutro jak dziś, i jeszcze, i ciągle, i wiecznie.

I stał tak chłopczyna oparty o poręcz pokładu, wlepiwszy wzrok w ten ocean bez początku i bez końca, ogłuszony, oszołomiony, niejasno, a uparcie myślący o matce, póki mu powieki nie zaciężyły, a głowa nie spadła na ręce. A wtedy – spostrzegł znowu tę twarz nieznaną, która patrzyła na niego litośnie, i słyszał jej szept cichy: „Matka twoja umarła”. – I budził się, i zrywał nagle, aby znów śnić na jawie, zapatrzonej w horyzont cichy, nieruchomy.

*

Dwadzieścia siedem dni trwała podróż taka! Ostatnie z nich przecież były lepsze. Powietrze się odświeżyło, pogoda była piękna. Marek zaznajomił się z jednym starym Lombardczykiem, który jechał do Ameryki, aby odwiedzić syna mającego kawałek ziemi niedaleko miasta Rosario. Opowiedział mu wszystko o swojej rodzinie, a stary słuchając klepał go po ramieniu i raz wraz powtarzał: „Odwagi, chłopcze! Odnajdziesz matkę zdrową i szczęśliwą!”

Te rozmowy, ten tak odmiennego wieku towarzysz, wzmocniły go trochę; przeczucia smutne zmieniły się w oczekiwanie radosne.

Siedząc na tylnym pokładzie obok starego wieśniaka palącego fajkę, pod pięknym, gwiazdzistym niebem, wśród gromadek emigrantów, którzy śpiewali, po sto razy przedstawiał sobie w myśli, jak to on przyjedzie do Buenos Aires; widział się już na wskazanej sobie ulicy, odnajdywał sklepik krewniaka i biegł do niego z okrzykiem: „Mama czy zdrowa... Gdzie mama...? Idźmy prędko! Idźmy prędko do niej!” – Więc wybiegali razem, wstępowali na schody, drzwi się otwierały – i... I tu urywała się gra jego wyobraźni, głosy, którymi sam przemawiał, milkły, a całe serce jego zalewało uczucie niewypowiedzianej tkliwości. Wyjmował wtedy z zanadru mały medalik, całował go i odmawiał z cicha swe modlitwy.

*

Dwudziestego siódmego dnia od wyruszenia z Genui przybyli nareszcie. Majowa różana zorza stała na niebie, kiedy okręt zarzucił kotwicę w zatoce olbrzymiej rzeki La Plata, na której brzegu wznosi się obszerne miasto Buenos Aires, stolica Republiki Argentyńskiej.

Ta zorza wydawała się dobrą wróżbą naszemu chłopcu. Radość i niecierpliwość zmysły mu odbierały niemal. Jego droga, ukochana matka była już tak blisko, tak blisko! Za parę godzin zobaczy ją, uściska! I oto był w Ameryce, w tym Nowym Świecie, i odważył się na tę drogę sam, i dobił do celu!

Wszystko, co przeszedł, przecierpiał w podróży, wydało mu się być niczym. Leciał, ot widać tak we śnie, a teraz się obudził. A tak był szczęśliwy, że ani się zdumiał, ani też zasmucił, kiedy sięgnąwszy do kieszeni nie znalazł w niej jednego z dwóch węzełków, w których zawiązał swój mały skarb, rozdzielwszy go na połowy, dla większej pewności, że nie zgubi wszystkiego.

I otóż jeden z węzełków tych wyciągnął mu jakiś zły człowiek, tak że mu pozostało tylko kilka lirów. Ale cóż go to mogło obchodzić teraz, kiedy był blisko swej matki?

Wziąwszy tedy torbę w rękę zeszedł razem z wielu innymi Włochami do małego parowego statku, który ich dostawił nie opodal portu, ze statku przesiadł się na łódź, noszącą imię „Andrzej Doria”, ta go doniosła do portu, skąd – pożegnawszy starego Lombardczyka – ruszył wielkimi krokami ku miastu.

*

Doszedłszy do zakrętu pierwszej ulicy zatrzymał przechodnia i grzecznie prosił o wskazanie mu, w jakim kierunku ma się udać, aby dojść do ulicy Los Artes. Wypadek zdarzył, że ów przechodzień był robotnikiem Włochem. Spojrzał ciekawie na chłopca i zapytał go, czy umie czytać. Chłopiec potwierdził, że umie.

– A więc – rzekł ów robotnik wskazując mu ulicę, z której zszedł – idź ciągle prosto, prosto i czytaj nazwy ulic na wszystkich rogach, to znajdziesz i swoją.

Chłopiec podziękował i puścił się przed siebie.

Ulica to była prosta, niezmiernie długa, choć wąska, obudowana po obu stronach białymi, niskimi domkami, które wyglądały jakby dworki wiejskie, pełna ruchu ludzi, pojazdów i ciężkich wozów, toczących się z ogłuszającym hałasem; tu i ówdzie zaś powiewały olbrzymie chorągwie, na których wypisano wielkimi, różnokolorowymi literami, gdzie i kiedy okręt jaki odpływa. Były to nazwy miast nie znanych mu zgoła.

Co i raz idąc, na prawo i na lewo, widział poprzeczne ulice, tak samo proste i długie i tak samo zabudowane małymi, niskimi domami, i tak samo pełne ludzi i powozów, przecięte w głębi prostą linią nieskończonej płaszczyzny amerykańskiej, podobnej do widnokregu morza.

Miasta nie podobna było objąć wzrokiem. Zdawało mu się, że mógłby tak całymi dniami, całymi tygodniami iść a iść nie widząc nic innego, tylko takie proste przecinające się ulice, jak te, które spostrzegł, i że cała Ameryka musi być nimi pokryta.

Uważnie przecież bardzo czytał na wszystkich rogach nazwy ulic; były mu one, te nazwy, całkiem obce i wyczytywał je z trudem. Przy każdym rogu serce zaczynało mu bić silniej na myśl, że to tu już może. Bacznie też patrzył na przechodzące kobiety nabiwszy sobie głowę, że mógłby matkę wprost spotkać. Zdarzyło się, że zobaczył dość daleko przed sobą idącą kobietę, która mu się wzrostem dość podobna wydała. Krew uderzyła mu do głowy. Dobiegł jej i ujrzał, że była to Murzynka. Szedł więc a szedł przyśpieszając coraz kroku. Nareszcie na którymś rozstaju uciekającej w prawo i w lewo ulicy zaczął czytać i stanął, jak gdyby wrósł w ziemię. Była to ulica jego. Ulica Los Artes.

Odwrócił się i zobaczył nr 117. Sklep krewniaka zaś znajdować się miał pod 175. Zaczął iść teraz tak spieszenie, że prawie biegiem. Przed nr 171 musiał stanąć, żeby tchu nabrać. I mówił sobie: „O matko moja! Matko moja! Czyż to prawda, że ja cię zaraz zobaczę?...”

Pobiegł dalej, spostrzegł mały sklepik z wiktuałami. Ten sam. Wszedł. W sklepiku siedziała kobieta w okularach z siwymi włosami.

– A czego to, chłopcze? – spytała po hiszpańsku.

– Czy to nie tu – rzekł chłopiec usiłując głos dobyć z ściśnionego gardła – czy to nie tu sklep Franciszka Merelli?

– Franciszek Merelli umarł! – odrzekła kobieta po włosku. Chłopiec zachwiał się jakby uderzony w piersi.

– Kiedy umarł?

– Ech, kawałek już czasu, moje dziecko! – odpowiedziała kobieta. – Kilka miesięcy temu. Nie wiodło mu się. Przedał. Wyprowadził się. Słyszałam, że daleko stąd, aż do Bahii, gdzie zaraz też podobno miał umrzeć. Sklepik teraz mój.

Chłopiec zbladł.

Przewyciężył się jednak i rzeki szybko:

– Merelli znalazł moją matkę. Moja matka służyła tutaj u państwa Mequinez. On sam tylko mógłby mi powiedzieć, gdzie mam jej szukać. Bo ja przyjechałem do Ameryki po to, żeby odszukać moją matkę, Merelli posyłał jej listy nasze. Ja przecież muszę znaleźć moją matkę.

– Biedny chłopiec! – westchnęła kobieta. – Ja nie wiem. Mogę się zapytać stróża. On znał chłopaka, który Merellemu posyłki załatwiał. Może być, że wie cokolwiek.

I zaraz poszła w głąb sklepu wołając przez drzwi stróża.

Przybiegł natychmiast.

– Powiedz mi – rzekła sklepikarka – czy pamiętasz, żeby ten chłopak od Merellego nosił listy do kobiety służącej u jednych tu, wiesz, tutejszych...

– U państwa Mequinez! – odpowiedział stróż. – Tak, proszę pani, nosił czasem. Tam dalej, w tej samej ulicy.

– Ach, dziękuję pani! – zawołał Marek. – Proszę mi tylko powiedzieć numer... Nie wiecie? Niech pani każe mnie zaprowadzić! Zaprowadźcie mnie, stróżu! Mam jeszcze pieniądze...

Mówił tak żarliwie, że stróż nie czekając na to, co powie sklepikarka, rzekł:

– To idźmy! – I wyszedł pierwszy prędkim krokiem. Biegając niemal i bez słowa doszli w głąb tej nadzwyczaj długiej ulicy, przeszli korytarz wiodący wskrós małego białego domku i zatrzymali się przed piękną kratą, przez którą widać było dziedzińczyk umeblowany i pełen gazonów z kwiatów. Marek pociągnął za dzwonek. Ukazała się młoda panna.

– Czy tu mieszkają państwo Mequinez? – zapytał chłopiec trwożliwie.

– Mieszkali – odpowiedziała panna po włosku, ale akcentem hiszpańskim. – Teraz my tu mieszkamy, Zeballoz.

– A gdzie się wyprowadzili państwo Mequinez? – zapytał Marek z bijącym sercem.

– Wyjechali do Kordowy.

– Kordowa?! – wykrzyknął Marek. – Gdzież to Kordowa?... A ta służąca, która u nich była? Ta kobieta? Moja matka. Ich służąca była moją matką... Czy zabrali także matkę moją z sobą?

Panna spojrzała na niego i rzekła:

– Nie wiem. Może mój ojciec będzie wiedział, bo znał się z nimi, zanim wyjechali. Proszę poczekać chwilę.

Odeszła, a za chwilę powróciła z ojcem, wysokim panem z siwą brodą. Pan popatrzył chwilę na sympatyczną postać małego genueńskiego marynarza, z noskiem orlim i jasnymi włosami, po czym zapytał nietęgą włoszczyzną:

– Twoja matka była z Genui?

– Z Genui, panie!

– No to ta służąca z Genui wyjechała razem z państwem. Wiem o tym na pewno.

– A gdzie wyjechali?

– Do Kordowy... Do takiego miasta.

Westchnął ciężko chłopczyzna, a potem z rezygnacją odrzekł:

– Kiedy tak, to ja muszę także udać się do Kordowy.

– Ach biedny malcze! – zawołał pan patrząc na niego litośnie. – Ależ to przecie o jakie sto mil stąd!

Marek zbladł jak trup i oparł się ręką o kratę.

– Zobaczymy, zobaczymy – mówił pan, tknięty współczuciem, i otwierając drzwi dodał:

– Wejdz na chwilę, zobaczymy, czy ci w czym pomóc można. Kazał mu usiąść i opowiedzieć rzecz całą, a wysłuchawszy z wielką uwagą, namyślał się czas jakiś, po czym rzekł szybko:

– Nie masz pieniędzy, nieprawdaż?

– Mam jeszcze... trochę – odpowiedział Marek. Pan znów myślał przez parę minut, potem siadł do stolika, napisał list i podając go chłopcu rzekł:

– Słuchaj, mały Włoszku! Idź z tym listem do Boca. Jest to miasteczko przez pół genueńskie o dwie godziny drogi stąd. Każdy ci pokaże drogę. Idź tam i wyszukaj tego pana, którego nazwisko masz tu na adresie. Znają go wszyscy. Zanieś mu ten list. Ten pan wyprawi cię jutro do Rosario i poleci komuś, kto się postara ułatwić ci dalszą drogę aż do Kordowy, gdzie znajdziesz państwa Mequinez i matkę twoją. Tymczasem, masz tu oto – włożył mu kilka lirów do ręki – idź śmiało, nie bój się! Wszędzie tu znajdziesz Włochów, wszędzie się rozmówisz i nie będziesz opuszczony! Adios!

Chłopiec rzekł tylko: – Dziękuję!... – Nie mógł znaleźć innych słów, wyszedł ze swoją torbą i pożegnawszy przewodnika zaczął iść zwolna ku onemu „Boca”, pełen smutku i zdumienia, przez to duże, hałaśliwe, tętniące przyśpieszonym ruchem miasto.

Wszystko, co mu się od chwili tej aż do wieczora następnego dnia zdarzyło, zostało mu w pamięci zmacone, niejasne, podobne do gorączkowych majaczeń w chorobie, tak był znużony, stroskany, upadły na duchu.

Dopiero kiedy drugiego dnia wieczorem przespawszy noc w jakiejś komórce obok tragarza portowego w Boca i przesiedziawszy dzień cały prawie na stosie belek w półsennym wzrokiem wpatrzony w tysiące łodzi, statków parowych i okrętów znalazł się wreszcie na dużej, żaglowej, naładowanej owocami barce, uczyniło mu się jakoś rzeświej w duszy.

Barkę prowadziło trzech silnych, na brąz spalonych słońcem, genueńskich żeglarzy, których głos i ten miły mu, znajomy od dzieciństwa akcent ich wymowy dodawały biedakowi otuchy, odwagi.

Ruszyli.

Podróż trwała trzy dni i cztery noce, a była jednym wielkim zdumieniem dla naszego małego wędrowca. Trzy dni i cztery noce spędził na tej olbrzymiej, pełnej zadziwiających widoków rzece Paranie, wobec której nasza Po – też przecie duża rzeka – drobnym jest strumyczkiem zaledwie, a której długość przewyższa długość Włoch cztery razy wziętą.

Barka posuwała się z wolna, płynąc mozolnie pod falę tych wód niezmiernych. To mijała podłużne wyspy, niegdyś tygrysów i węzów siedliska, teraz uprawne, pokryte plantacjami pomarańcz gaje; to przesuwała się przez kanały tak wąskie, iż zdawało się niepodobieństwem, aby z nich wyjść mogła; to wypływała na szerokie wodne roztocze mające pozór wielkich, cichych jezior. A potem znów inne wyspy i znowu kręte kanały skróś archipelagu, wpośród ogromnych gąszczów dzikiej roślinności. Te brzegi, te wody samotne, szeroko rozlane, czyniły niekiedy wrażenie jakichś nowych światów, na które ta uboga barka przedzierała się pierwsza od stworzenia ziemi. A im się posuwali dalej, tym ta potworna rzeka straszniejszą się zdawała biednemu Markowi.

Wyobraził sobie, że matka jego jest gdzieś u jej źródeł i że będzie tak płynął do niej lata, lata.

Dwa razy dziennie spożywał nieco chleba i solonego mięsa razem z wioślarzami, którzy widząc go smutnym przestali się do niego odzywać. Nocą sypiał na pokładzie budząc się wszakże co chwila, zdumiony nadzwyczajnym blaskiem księżyca, który wysrebrzał niezmierne wody i dalekie brzegi, a wtedy ścisnęło mu się serce.

– Kordowa! – Tak powtarzał to słowo „Kordowa”, jakby to była nazwa tajemniczego miasta, o którym gdzieś, kiedyś, w bajce jakiejś słyszał.

I zaraz poddawał się myślom słodkim i cieszącym.

„Mama tędy płynęła także... Mama także patrzyła na te wyspy, na te brzegi”.

A wtedy miejsca i widoki utracąły dla niego coś z obcości swojej i nie zdawały mu się tak samotne, bo przecież zostało w nich coś ze spojrzenia matki jego.

Nocą, żeby nie usnąć, jeden z wioślarzy śpiewał. Jakże mu śpiew ten przypominał słodkie pieśni, którymi usypiała go matka.

Ostatniej nocy słuchając owego śpiewania zapłakał głośno. Wioślarz przerwał piosenkę, chwilę milczał, a potem zawołał:

– A nie bądźże babą, chłopcze! Cóż u licha! Genuńczyk – i beczy, że mu dom daleko... A nie wiesz to, że Genuńczycy świat opłynęli dokoła w sławie i w triumfie?

Więc biedak zwyciężył się jakoś, poczuł krew genueńską w żyłach i podniósł mężnie czoło uderzając pięścią w rudel dla nadania sobie bardziej męskiej miny.

„A więc dobrze! – myślał. – I ja tak będę! I ja muszę opłynąć cały świat dokoła, i będę płynął lata, lata całe, a potem będę szedł pieszo setki, setki mil, będę szedł ciągle, póki nie znajdę mamy! Choćbym miał dojść umierający i paść u nóg jej nieżywy! Niech tam, bylem ją raz zobaczył! Będę odważny! Będę mężny! Będę!...”

I z tak umocnioną duszą przybył o chłodnym, wczesnym brzasku dnia czwartego do miasta Rosario, które leżało na wysokim brzegu Parany, tam gdzie tysiące powiewających chorągwiami masztów przeglądało się w uciszonych jej wodach.

*

Zaraz po wylądowaniu udał się Marek do miasta z swoją torbą w rękę, aby odszukać owego Argentyńczyka, do którego protektor z Boca dał mu na wizytowym bilecie kilka słów polecających.

Kiedy wszedł do Rosario, zdawało mu się, że wchodzi do miasta już znanego. Były to te same nieskończenie długie i proste ulice, zabudowane niskimi, białymi domami, zasnuwane ponad dachami niezmierną siecią telefonicznych i telegraficznych drutów, które wisiały niby pajęczyna olbrzymia, a na brukach tętent koni, huk wozów, wrzawa ludzi. „W głowie mu się mieszało. Chwilami takie miał wrażenie, że oto przybył do Buenos Aires i ma szukać owego krewniaka raz jeszcze.

Chodził tak z godzinę może, zawracając to tu, to tam, wśród ogłuszającej jednostajności widoków, zupełnie jakby ciągle się kręcił w tej samej ulicy, aż dopytując się usilnie znalazł dom nowego protektora swego. Zadzwoił. We drzwiach ukazał się jakiś grubas z jasnymi włosami, z twarzą niemłą, wyglądający na rządcę domu, który go opryskliwie i cudziemską wymową zapytał:

– Czego chcesz ?

Chłopiec wymienił nazwisko pana domu.

– Pan – odpowiedział rządcą – wyjechał wczoraj wieczór do Buenos Aires z całą rodziną.

Chłopiec oniemiał. Potem rzekł zmieszany:

– Ale ja... Ja tu nie mam nikogo... jestem sam – i podał ów polecający bilet.

Rządcą go wziął, odczytał i rzekł niechętnym głosem:

– Ja tam nic nie wiem. Dam panu za miesiąc, jak wróci.

– Ale ja, ja tu sam... Mnie koniecznie trzeba! – zawołał błagalnie chłopczyzna.

– Ech, ruszaj sobie! – odpowiedział grubas. – Mało to jeszcze mamy tych obieżyswiatów z twego kraju! Idź do Włoch zebrać, do Włoch!

I zamknął mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał jak skamieniały.

Wziął wreszcie torbę swoją i odszedł zwolna, z sercem jakby przebitym i zamętym w głowie.

Co czynić? Gdzie iść?

Z Rosario do Kordowy był jeszcze dzień jazdy koleją. Ale Marek miał już tylko parę lirów. Odjawszy to, co musi dziś jeszcze wydać – cóż mu zostanie?

Skąd wziąć pieniędzy, żeby kupić bilet do Kordowy? Mógłby zarobić... Ale gdzie, kogo prosić o zajęcie jakie, o pracę? Zebrać? Ach, nie! Te odmowy, obelgi, upokorzenia, jak tego świeżo doznał... Nigdy, nigdy! Sto razy lepiej najpierw umrzeć...

Kiedy tak rozmyślając spojrział w tę nieskończenie długą ulicę, która ginęła gdzieś daleko, na niezmiernej, nie objętej okiem płaszczyźnie, poczuł, że cała odwaga z serca mu uchodzi... Rzucił więc torbę na chodnik, siadł na niej, oparł się o mur plecami i ukrywając twarz w rękach, bez jednej łzy nawet, pozostał tak nieruchomy jak obraz rozpacz.

Przechodnie potrącali go nogami; ulica drżała od turkotu ładownych wozów; kilku chłopców zatrzymało się i patrzyło na niego.

Jak długo to trwało, sam nie czuł. Nagle zbudził go jakiś głos, mówiący w pół po włosku, a w pół po lombardzku:

– A co ci to, dziecko?

Podniósł twarz na te słowa i spojrzawszy skoczył z okrzykiem zdziwienia:

– Wy tutaj?!...

Przed nim stał ów wieśniak, Lombardczyk, z którym się zaprzyjaźnił przepływając morze.

Ale i stary wieśniak niemniej był od chłopca zdziwiony. Marek wszakże w nagłym podnieceniu nie dał mu nawet czasu na pytania, tylko sam zaczął opowiadać pośpiesznie wszystko, co go od owego czasu spotkało.

– A teraz – kończył – nie mam już pieniędzy i trzeba mi koniecznie na drogę zarobić. Zmiłujcie się, znajdźcie mi jaką robotę, żebym mógł uciąć kilka lirów! Każdą robotę chętnie podejmę... Mogę nosić pakunki, mogę zamiatać ulicę, mogę biegać za posyłkami, mogę także na wsi pracować. Niechbym czarnym suchym chlebem żył, bylebym mógł jak najprędzej jechać i odnaleźć już raz moją matkę!

Więc się ulitujcie nade mną i znajdźcie mi jaką robotę! Na miłość boską, znajdźcie, bo już nie wytrzymam dłużej!...

– Diaski! Diaski! – powtarzał wieśniak patrząc dokoła i drapiąc się w brodę. – Co za awantura!... Robota!... Łatwo powiedzieć: robota! Ale skąd ją wziąć? Posłuchaj no... A nie dałoby się zebrać jakich trzydziestu lirów, tak pomiędzy naszymi?... Przecie tu tylu naszych jest!

Chłopiec spojrział na niego z odbłyskiem nadziei w oku.

– Pójdź no ze mną! – rzekł wieśniak po nowym namyśle.

– Gdzie? – zapytał chłopczyna schylając się po torbę.

– Jak mówię pójdź, to pójdź!

I zaraz ruszył z miejsca.

Marek szedł za nim. Tak przeszli razem duży kawał ulicy w zupełnym milczeniu. Nareszcie zatrzymał się wieśniak przed oberżą, na której szyldzie była gwiazda, a pod nią napis: „Jutrzenka Włoch”, wsadził głowę przez drzwi i cofnąwszy ją zaraz, obrócił się do chłopca i rzekł wesoło:

– W dobrą chwilę my przyszedli! Chodź!

I weszli do izby. W izbie było kilka stołów, a przy stołach siedziało dużo ludzi pijąc i rozprawiając głośno. Stary Lombardczyk zbliżył się do pierwszego stołu z brzegu, a po sposobie, jakim powitał sześciu siedzących przy nim gości, zaraz można było poznać, że tylko co, przed niedawną chwilą, należał do ich kompanii. Goście mieli twarze czerwone i brząkali szklankami śmiejąc się i krzycząc razem.

– Towarzysze! – rzekł wieśniak bez żadnego wstępu, stojąc i trzymając Marka za rękę. – Oto jest biedny chłopak, nasz rodak, który przybył z Genui do Buenos Aires szukając matki. Tam jej nie znalazł, bo jest aż w Kordowie. Zabrali go na barkę do Rosario. Płynął trzy dni i cztery noce z paroma słowami polecającymi. Przedstawił kartkę, wykrzywili gębę na niego. Nie ma ani grosza. Jest sam i nikogo nie zna. Chłopak pełen serca. Pomyśleć tylko: z Genui do Rosario!... Dalej, towarzysze! Nie trzasnęlibyście też tak kieszenia, żeby miał za co bilet kupić do Kordowy i matkę odszukać? Bo jakże! Mamy go tak jak psa zostawić na ulicy?...

– Nigdy w świecie, na Boga!... Nigdy się to po nas nie pokaże! – krzyczeli wszyscy razem, tłukąc w stół pięściami. – Rodak nasz przecie!... Chodź no tu, mały! My jesteśmy emigranci! Patrzcie, jaki bęben ładny!

– Dalej, towarzysze, na stół miedziaki!

– A to zuch! Sam przez takie morze!...

– Dzielny chłopak! Napijże się, rodaku!

– Nie może inaczej być, tylko cię wyprawim do matki! I już jeden klepał go po ramieniu, już drugi uszczypnął go w policzek, już trzeci odejmował mu torbę. Inni emigranci zaczęli się też zbliżać od stołów swoich powstawszy.

Historia chłopca obleciała w mig oberżę całą; z sąsiedniej stacji przyszło kilku Argentyńców i mniej niż w dziesięć minut stary Lombardczyk, który nadstawiał kapelusza, miał już w nim czterdzieści dwa liry.

– Widziałeś – rzekł wtedy zwracając się do chłopca – jak to wszystko galopem w Ameryce idzie?

– Pij, zuchu! – zawołał któryś z gości podając Markowi szklankę wina. – Za zdrowie twojej matki!

Wszyscy podnieśli szklanki, zaczęli się trącać, a Marek powtarzał:

– Za zdrowie... mojej... – A wtem radosne jakieś łkanie tak mu ścisnęło gardło, że postawił szklankę na stole i rzucił się na szyję staremu.

Nazajutrz rano, o pierwszym dnia brzasku, mały podróżny był już w drodze do Kordowy, ufny, wesoły i pełen najlepszych przeczuć. Ale nie ma takiej wesołości, która by się długo ostała wobec posępnych widoków natury. Dzień był pochmurny, szary, pociąg, prawie że pusty, przebiegał olbrzymią równinę pozbawioną wszelkich śladów pomieszkali ludzkich. Marek siedział sam w

niezmiernie długim wagonie, podobnym do tych, którymi przewożą rannych. Patrzył na prawo, patrzył na lewo, ale i na prawo, i na lewo była głucha pustka, na której to tu, to tam sterczały drobne karłowate drzewa, pnie potworne, gałęzie powykęcane w nigdy nie widzianych kształtach, jak gdyby z gniewu i z przerażenia przyjęły tę dziwną postać. Cała roślinność ciemna, rzadka, smutna dawała tej ogromnej równinie pozór niezmiernego cmentarza.

Drzemał pół godziny, drzemał godzinę, otworzył oczy, spojrzął, zawsze ten sam widok. Stacje, które mijali lub przed którymi zatrzymywali się, były samotne jak domy pustelników, a kiedy pociąg stawał, nie słychać było żadnego głosu. Zdawało się więc chłopcu, że jedzie tak w jakimś straconym pociągu, o którym nikt nie wie i który przez pustynię pędzi. A i to mu się zdawało, że lada stacja będzie już ostatnią i że wprost z niej będzie wyjście na tajemnicze i straszliwe siedziby dzikich plemion. Zimny wiatr twarz mu owiewał. Wsadzając go w Genui na pokład okrętu w końcu kwietnia ojciec jego nie spodziewał się, żeby w Ameryce za jego przybyciem zima jeszcze była, i wyprawił go w letniej odzieży. Więc po kilku godzinach tej ponurej jazdy uczuł wielkie zimno, a razem z zimnem ciężkie znużenie dni ubiegłych, pełnych gwałtownych wzruszeń, a także bezsennych albo nie dospanych nocy.

Zdjął go sen. Spał długo i przebudził się całkiem skostniały. Uczuł, że mu źle jakoś. A wtedy ogarnął go jakiś głuchy niepokój, że może zachorować i umrzeć w tej drodze i być porzuconym tu, na tej równinie rozpaczliwie smutnej, gdzie ciało jego byłoby poszarpane przez drapieżne ptaki albo rozwleczone przez psy, jak to się działo w oczach jego z ciałami krów i koni, porzuconymi na przydrożu, od których oczy ze wstrętem odwracał. Otóż z tym uczuciem niedomagania, wpośród ponurego milczenia natury myśli jego i uczucia stały się posępne, złowróżbne.

Czyż to już także pewne, że matkę znajdzie w Kordowie? A jeśli jej tam wcale nie było? Jeśli pan z ulicy Los Artes pomylił się co do niej? A jeśli też... jeśli już nie żyje?... W myślach tych zasnawszy śnił, że jest już w Kordowie, że noc, że on idzie ulicą, a tu ze wszystkich drzwi, ze wszystkich okien krzyk słyszy: „Nie ma jej! Nie ma! Nie ma!”

Zbudził się nagle zmarznięty srodze i zobaczył w głębi wagonu trzech jakichś brodaczy, otulonych w szale kolorowe, którzy z cicha z sobą gadając patrzyli na niego.

Jakiś błysk podejrzenia go przeniknął. Kto wie, czy nie są to zbójce, którzy chcą go zamordować i ukraść mu torbę? Ogarnęła go więc trwoga, której dreszcz równie był przykry jak dreszcz zimna, a wyobrażenia jego podniecona zaczęła snuć coraz to bardziej przerażające widziadła.

Tymczasem trzej podróżni patrzyli na niego ciągle, a jeden z nich podniósł się i ku niemu posuwać się zaczął. Wtedy chłopiec głowę stracił i biegnąc do człowieka owego z otwartymi ramionami zakrzyknął:

– Nie mam nic! Jestem biedny chłopak! Idę z Włoch szukać matki mojej! Jestem sam, bezbronny, nie czyńcie mi nic złego!

Zrozumieli tę trwogę biednego chłopca podróżni, uzalili się go, ugłaskali, uspokoili mówiąc do niego wyrazami, których nie rozumiał zgoła; a widząc, że szczeka zębami, owinęli go jednym z swoich trzech szalów i namówili, żeby się w kątku przytulił i zasnął, a oni go na czas obudzą.

Jakoż zasnął, gdy mrok już zapadał. Kiedy go obudzili, był w Kordowie.

*

Ach, jakże głęboko odetchnął, z jakim pośpiechem wyskoczył z wagonu! Zaraz na stacji zapytał jednego z urzędników, gdzie jest dom inżyniera Mequinez. Urzędnik wymienił nazwę kościoła, obok którego dom ten się znajdował. Chłopiec pobiegł, ledwo zdążywszy powiedzieć: „dziękuję”.

Była noc. Wszedł do miasta. I zdawało mu się, że znowu do Rosario powrócił, bo znów zobaczył tak samo proste i tak samo nieskończenie długie ulice, przy których stały domy niskie, białe, ulice tak samo pocięte przecznicami, równie długimi i równie prostymi. Były one wszakże dość puste, a kiedy przy świetle rzadko stojących latarni spojrzął w twarze nielicznych przechodniów, wydały mu się one dziwne, co do rysów, a koloru także nie widzianego nigdy, niby czarnego, niby oliwkowego.

Podniósł tedy oczy i zaczął szukać wzrokiem kościołów. Ujrzał ich kilka, rysujących się na czarności nocy ciężkimi, dziwnymi kształtami.

Miasto było ciemne i milczące, ale po przebyciu tej śmiertelnie ponurej i nieskończenie wlokącej się równiny wydało mu się prawie że wesołe.

Spotkał księdza, zapytał go o kościół, znalazł go niebawem, a także dom przy nim. Drżącą więc ręką pociągnął za dzwonek, a drugą przycisnął z całej siły do piersi, żeby powstrzymać gwałtowne uderzenia serca, które go aż w gardle dusiło.

Na odgłos dzwonka wyszła otworzyć jakaś stara kobieta ze światłem. Ale chłopiec przemówić nie mógł.

– Do kogo to? – zapytała po hiszpańsku stara.

– Do inżyniera Mequinez – odrzekł Marek.

Stara zrobiła taki ruch, jakby chciała ręce skrzyżować na piersi, i kiwając głową rzekła:

– Jeszcze i ty?... Jeszcze do inżyniera Mequinez? Zdaje się, że byłby już czas z tym raz skończyć! Trzy miesiące jak go nie ma, a ci go precz szukają!... Nie dosyć, żeśmy dali ogłoszenie do gazet? Jeszcze może na rogach ulic drukować, że pan inżynier Mequinez wyprowadził się do Tucuman!

Markowi opadły ręce, lecz zaraz chwycił go nagły gniew rozpaczy.

– Cóż to?! – zawołał. –Przekleństwo jakie, czy co?... Mam umrzeć tak na ulicy, na drodze, nie znalazłszy matki mojej? Ja oszaleję!... Ja się zabiję! Boże! Boże! Jak się nazywa ten kraj?... Gdzie jest? Daleko stąd?

– Czy daleko, mój biedny chłopcze! Bagatela... Jakieś czterysta czy pięćset mil rachując lekko...

Marek zakrył twarz rękami. Gniew jego rozpułnął się w dziecięcych łzach bezsilności.

Płakał i powtarzał z cicha:

– Co ja pocznę?... Co ja pocznę? Co ja teraz pocznę?

– A skądże ja mogę wiedzieć, mój biedaku! – odpowiedziała kobieta. – Ja też nie wiem!

Ale w tej chwili przeleciał jej przez głowę błysk jakby, więc rzekła spiesznie:

– Słuchajże, chłopcze! Spróbuj jeszcze! Idź na prawo w ulicę, znajdziesz za trzecią bramą duży dziedziniec. Tam mieszka capataz, taki kupiec, wiesz?... On jedzie jutro do Tucuman ze swoimi wozami i wołami. Spróbuj, proś... Może by cię zabrał za usługę w drodze. Może by ci się dał przysiąść na który wóz... Tylko się spiesz... Leć!...

Chwycił chłopak torbę i pobiegł dziękując. W dwie minuty później był już w obszernym dziedzińcu, oświetlonym latarniami, gdzie kilku ludzi pakowało worki pszenicy na ogromne wozy, podobne do tych ruchomych domów, w których mieszkają i przenoszą się z miejsca na miejsce linoskoki; wozy miały dachy półokrągłe i nadzwyczaj wysokie koła. Robotą zarządzał wysoki, barczysty mężczyzna, owinięty obszernym płaszczem w biało-czarne kraty i w wysokich butach z cholewami. Podszedł do niego chłopczyzna i nieśmiałym głosem przedstawił mu swoją prośbę dodając, że przybył z Włoch i że szuka matki swojej. Capataz, co znaczy tyleż prawie w tych wyprawach lądowych co kapitan w wyprawach morskich, obrzucił go bystrym okiem od stóp do głowy i rzekł krótko:

– Nie ma miejsca.

– Panie – rzekł chłopiec głosem błagalnym – ja mam piętnaście lirów... Ja panu dam te piętnaście lirów... Za drogę będę pracował, służył... Będę nosił wodę, paszę dla bydła... Będę wszystko robił, co pan każe. Niech mi pan pozwoli się przysiąść na którym wozie... Ja nie jestem ciężki...

Capataz popatrzył znowu, tym razem przyjaźniej nieco.

– Nie ma miejsca! A potem, widzisz, my nie jedziemy do Tucuman. Jedziemy do innego miasta, do Santiago dell' Estero. Więc musielibyśmy puścić cię stamtąd samego, a to jeszcze duży kawał drogi. Musiałbyś pieszo iść.

– Pójdę, panie. Jeszcze dwa razy taki kawał pójdę! Ja dobrze chodzę. Czy tak, czy owak, już ja się tam dostanę... Niech mnie pan tylko weźmie na wóz. Niech mnie pan zabierze! Malutki kącik jaki, proszę pana! Ja się skurczę... Niech się pan zmiłuje nade mną! Niech mnie pan nie zostawia tutaj samego!

– Ale, chłopcze! To jest dwadzieścia dni drogi stąd.

– Niech będzie! Nie szkodzi!

– I to Jest ciężka podróż!

– Już Ja wytrzymam, proszę pana! Ja mocny!

– I pamiętaj, że będziesz musiał potem sam iść.

– Pójdę, panie! Ja się niczego nie boję. Żebym tylko matkę znalazł Niech się pan ulituje nade mną!

Capataz zbliżył mu do twarzy trzymaną w ręku latarnię i przez chwilę patrzył. Po czym rzekł:

– Dobrze.

Chłopiec pocałował go w rękę.

– Prześpisz się na wozie. Jutro o czwartej rano cię obudzę. Buenos noches... – dodał po hiszpańsku, co znaczy: „dobranoc”.

*

O czwartej rano, przy świetle gwiazd jeszcze, długi rząd ładownych wozów ruszył z wielkim łoskotem i brzękiem łańcuchów, każdy wóz ciągniony przez zaprzęg dwóch wołów, a za każdym wozem uwiązane dwie jeszcze pary na zmianę.

Chłopiec, zbudzony i umieszczony w jednym z wozów na stosie worków, zasnął powtórnie zaraz.

Kiedy się obudził, cały konwój wypoczywał w ustronnym, słonecznym miejscu, a ludzie należący do wyprawy, „los peones” zwani, siedzieli na ziemi wokoło dopiekającej się ćwierci cielęciny nadzianej na rodzaj różna, opartego na koziołkach przy dużym ognisku, które wiatr rozdymał.

Gdy pieczeń była gotowa, zjedli ją razem wszyscy, przespali się i ruszyli dalej, I tak szła ta podróż równym trybem, regularnie jak pochód żołnierzy. Każdego rana ruszali o piątej, zatrzymywali się o dziesiątej, znów wyruszali o piątej z południa, a o dziesiątej stawali na nocleg.

Peoni jechali konno i poganiali woły długimi prętami. Chłopiec rozpałał ognisko, dawał jeść bydłu, czyścił latarnie, przynosił wodę do picia.

Kraj, który przebywali, wydawał mu się być niewyraźną jakąś wizją: były tu obszerne zarośla drzew drobnych, prawie że brunatnych, osady o niewielu rozrzuconych domach, których fronty były ząbkowane i malowane czerwono, olbrzymie przestrzenie, może pradawne łożyska wielkich słonych jezior, bielejące solą, jak tylko okiem zajrzeć, a wszędzie i zawsze płaszczyna, pustka i milczenie.

Niezmiernie rzadko spotykali dwóch, trzech konno jadących podróżnych z uwiązanymi zapasowymi końmi, którzy przelatywali jak wichry galopem i znów wielka pustka i szeroka cisza. Dnie były tak jednostajne jak na pełnym morzu, znojne, nudne, nieskończenie długie.

Ale czas był prześlizgnięty.

Wszakże peoni co dzień stawali się bardziej wymagający, zupełnie tak jakby chłopiec był ich płatnym służącym, niektórzy traktowali go brutalnie a wszyscy żądali ciągłych posług, bez żadnego względu. Kazali mu dźwigać ogromne brzemiona paszy, posyłali go po wodę w bardzo oddalone miejsca, a on, złamany tą pracą ciężką dzienną, nie mógł się nawet dobrze wyspać budzony

nocą rykiem bydła, rżeniem koni, ujadaniem wielkich psów, które mieli z sobą, a rankiem wstrząsany nieustannie podskakującym ruchem wozów, skrzypieniem kół i brzękiem żelastwa. W dodatku, niech tylko wiatr się zerwał, a zrywał się często, czerwonawy, tłusty pył pokrywał wszystko dostawał się do wozu, przenikał pod ubranie, napełniał mu usta i oczy tamując oddech, przeszkadzając patrzeć, uporczywy, niezbyty, nieznośny.

Zmęczony ciężką pracą i niespaniem, obdarty i brudny, poniewierany od rana do nocy, biedny chłopiec z dnia na dzień coraz bardziej marniał i byłby zupełnie upadł na duchu, gdyby capataz nie przemówił do niego od czasu do czasu paru słów życzliwych. Często też skulony w kącie wozu, nie widziany przez nikogo, płakał gorzko – oparłszy twarz o swoją torbę, w której już nic nie było prócz trochy łachmanów. Co rano wstawał słabszy, bardziej zniechęcony, a patrząc na tę równinę nieskończoną, Nielitosną, nieprzebytą zupełnie jak ocean ziem pustych, milczących, myślał sobie:

„Ach, tego wieczora to już nie doczekam. Już co dzisiaj to zamrę z pewnością!”

A roboty przybywało, a dokuczliwe obejście coraz było cięższym. Pewnego ranka, że wody na czas nie przyniósł, w nieobecności capataza jeden z peonów go uderzył i odtąd w zwyczaj wprost weszło, że wszyscy razem, z rozkazem jakimś dawali mu szturchańca mówiąc:

– Weź to do torby, włóczęgo! Weź dla matki! A jemu serce pękało. Znosił, ale nie mógł znieść i zachorował.

Trzy dni leżał w wozie okryty kołdrą, szcękając zębami w okrutnej febrze i nie widując nikogo prócz capataza, który przynosił mu pić i liczył puls jego. Więc się już za zgubionego miał i wzywał matki z rozpaczą śmiertelną, słodkie jej imię ciągle na ustach mając:

– O matko! Droga mammo! Ratuj mnie! Przyjdź, zanim umrę, żebym cię pożegnał! O mammo, czy ja cię już nigdy nie zobaczę? Czy mnie, mammo, umarłego znajdziesz na tej drodze?

I składał ręce, i tulił je do piersi, i modlił się żarliwie, gorąco.

Aż dzięki staraniom poczciwego capataza pozdrowiał jakoś i począł się mieć lepiej. Ale właśnie wtedy nadszedł dzień najstraszniejszy dla niego: dzień, w którym miał zostać sam.

Dwa tygodnie byli już w drodze.

Kiedy więc przyciągnęli do tego rozstaju, gdzie od drogi, idącej ku Tucuman, odgałęzia się droga idąca do Santiago dell'Estero, capataz oznajmił chłopcu, że tu się rozłączą. Dał mu kilka wskazówek co do dalszej podróży, założył mu torbę na plecy tak, żeby mu łatwiej było iść, i – jak gdyby obawiał się własnego rozczulenia – krótko się z nim pożegnał, tak że chłopak ledwie miał czas pocałować go w rękę. Ale i peoni, którzy mu tyle nadokuczali, zdaje się, że byli wzruszeni litością widząc go tak samym, stojącym bezradnie na drodze, gdyż oddalając się pożegnali go przyjaznym ruchem ręki. A on oddawszy im z serca pożegnanie owo stał i patrzył, póki cała wyprawa nie znikła mu w chmurze czerwonego pyłu, po czym westchnął i puścił się w drogę.

*

Jedna rzecz wszakże dodała mu ducha zaraz na wstępie. Oto po tak długiej podróży skróś nieskończonej, śmiertelnie jednostajnej płaszczyzny, spostrzegł wznoszące się przed sobą na dalekim widnokręgu niezmiernie wysokie, lazurowe góry z białymi szczytami, które mu przypomniały Alpy i dawały złudzenie czegoś swojskiego, czegoś, co go do oddalonej ojczyzny zbliżało. Były to Andy, skalisty grzbiet amerykańskiego lądu, olbrzymi łańcuch ciągnący się od Ziemi Ognistej do morza podbiegunowych lądów, na przestrzeni stu dziesięciu stopni szerokości geograficznej.

A i to go orzeźwiło bardzo, że powiew wiatru stawał się coraz cieplejszy, wprost jakby ogrzane powietrze biegło naprzeciw niego. I nie dziw, gdyż droga jego, wstępująca teraz znowu ku północy, zbliżała go powoli ku sferom zwrotnikowym.

Uszedł już kawał, kiedy spotkał nareszcie grupę małych domków z dość nędznym kramikiem, do którego wstąpił, żeby coś do jedzenia kupić. Jakoż był porządnie głodny. Posiliwszy się nieco szedł dalej. Droga nie była całkiem pustą.

Spotykał mężczyzn jadących konno, widział kobiety i dzieci siedzące na trawie, nieruchome, poważne, z twarzami całkiem osobliwymi, koloru ziemi, o mocno wystających policzkowych kościach i podłużnych oczach, które wpatrywały się w niego uparcie i przeprowadzały go spojrzeniem, powoli obracając głowy zupełnie jak automaty. Byli to Indianie.

Pierwszego dnia szedł Marek, dopóki mu sił starczyło, noc zaś przespał pod drzewem. Drugiego uszedł mniej trochę i z większym wysiłkiem. Buty miał dziurawe, nogi poobijane, a i w sobie jakoś nie czuł się dobrze przy lichym posiłku. Pod wieczór strach go ogarnął. Przypomniał sobie, że mówiono we Włoszech, jakoby w krajach tych były jadowite węże, zaraz też wydało mu się, że słyszy w trawach jakieś podejrzane świsty. Zatrzymywał się, słuchał, potem szedł znowu, a kości mu przenikał dreszcz strachu. To znów ogarniała go wielka litość nad samym sobą, że płakał idąc w milczeniu. Zaraz wszakże otrząsał się z tego.

„Ach – myślał – jakżeby się mama o mnie martwiła, gdyby wiedziała, że ja się tak boję!”

I to wracało mu odwagę. Więc czepiał się tej myśli o matce jak deski ratunku. Przypominał sobie o niej różne rzeczy. Jej drogą twarz, jej głos, jej słowa, którymi go żegnała opuszczając Genuę... to znów przypominał sobie, jak mu poprawiała kołdrę i poduszkę w łóżeczku, kiedy był mały, jak go brała na kolana mówiąc:

„Posiedź trochę u mnie!” – i oparłszy głowę długo tak nieraz siedziała zamysłona, zadumana... Więc orzeźwiwszy się wspomnieniami tymi nabierał otuchy.

„Przecież ja cię znów, droga mamó, zobaczę! Przecież ja dojdę kiedyś do końca tej drogi, prawda, mamó?...”

I szedł, szedł pośród nieznanых drzew, pośród wielkich plantacji trzciny cukrowej, przez ogromne stępy trawiaste, zawsze ku onym lazurowym góróm,

które wierzchołkami ośnieżonymi przecinały niebo. Tak przeszło cztery dni, pięć dni, przeszedł tydzień cały.

Siły chłopca znikwały, topniały jakby, stopy miał pokaleczone. Aż pewnego dnia o zachodzie słońca zapytany przechodzień odpowiedział mu:

– Tucuman? Pięć mil stąd będzie jeszcze do Tucuman.

Marek wydał okrzyk radości i przyspieszył kroku, jakby cudem odzyskał utracone siły. Ale było to złudne podniecenie. Za chwilę pociemniało mu w oczach, siły go opuściły i padł nad brzegiem przydrożnego rowu.

Serce przecież uderzało mu w piersi radośnie, radośnie! Niebo, iskrzące promiennymi gwiazdami, nigdy mu się jeszcze nie wydawało tak pięknym. Patrzył w nie wyciągnięty na trawie i do snu się mając, a jednocześnie myślał, że może w tej samej chwili i matka jego na te gwiazdy patrzy. I mówił:

„Gdzie jesteś, mamó droga! Co robisz teraz? Czy myślisz o twoim Marku, który już tak blisko jest ciebie?”

*

Biedny Marek! Gdyby wiedział, w jakim stanie matka jego właśnie się znajduje, byłby zrobił nadludzki wysiłek, żeby tylko być przy niej parę godzin wcześniej. Była chora, leżała w łóżku w parterowym pokoiku pięknej willi zamieszkiwanej przez rodzinę inżyniera Mequinez, która dobrą kobietę polubiła serdecznie i opiekowała się nią najtroskliwiej.

Biedna kobieta była już słaba nieco, kiedy inżynierowi Mequinez wypadło niespodzianie opuścić Buenos Aires, wprędce jednak wyborny klimat Kordowy powrócił jej siły.

Ale kiedy na listy pisane i do męża, i do owego krewniaka nie otrzymała żadnej odpowiedzi, przecucie jakiegoś nieszczęścia, obawa ciągła, w której żyła z dnia na dzień, pozbawiona wszelkich wieści o dzieciach, o domu, wahanie, czy jechać, czy zostać, szalony niepokój odbierający jej sen w nocy i możliwość posiłku we dnie, wszystko to pogorszyło stan jej w niezwykły sposób. W końcu rozwinęła się choroba groźna, jakieś ostre wewnętrzne zapalenie, które ją od dni piętnastu trzymało pomiędzy życiem a śmiercią. Żeby ocalić to życie, trzeba było zdecydować się na operację chirurgiczną.

I właśnie w chwili, kiedy jej wzywał Marek, państwo Mequinez stali oboje przy jej łóżku przekładając jej łagodnymi słowy, dlaczego operacja ta konieczną była, a ona upierała się płacząc, że jej nie chce.

Zdolny lekarz z Tucuman zeszłego już tygodnia przybył tu na próżno.

– Nie, drodzy państwo! – mówiła słabym głosem chora. – Nie liczcie już na to! Ja już na to za słaba... umarłabym pod nożem doktora... Toć już wolę tak umierać. Co mi już po życiu. Już dla mnie się wszystko skończyło. Lepiej mi umrzeć nawet wpierw, zanim się dowiem, co się tam z moimi biedakami stało!...

A państwo persadowali. Toż trzeba przecie mieć trochę odwagi! Trochę ufności! Toć gdyby pisała do Genui wprost, a nie przez krewnego, byłaby już

dawno miała wiadomość od rodziny. Że nie może lekceważyć zdrowia, że musi poddać się tej operacji, jeśli nie dla siebie, to dla dzieci swoich. Ale to słowo „dzieci” powiększyło tylko srogą boleść i rozpaczliwą tęsknotę, która ją przygnębiała od długiego czasu.

– Ach, moje dzieci! Moje dzieci! – zawołała składając wychudzone ręce. – Nie ma już was może na świecie! Niechże i ja lepiej nie będę na nim! Dziękuję wam, dobrzy państwo! Z serca wam dziękuję, ale wolę już umrzeć raz niż co dzień z żalości umierać! Ja i z tą operacją nie będę już zdrowa! Wiem, że nie będę! Dziękuję za te wszystkie koszty i starunki. Niech już ten doktor nie przyjeżdża tu pojutrze, jak mówił! Ja już chcę tak umrzeć. Już tak przeznaczone, żeby tu była śmierć moja. Już niech będzie, co ma być!

Ale państwo Mequinez nie ustępowali.

– Dla Boga! Nie mówcie tego! Nie można! – I brali jej rękę w swoje dłonie i prosili, i pocieszali, jak mogli. Wszakże chora zamknęła oczy i zapadła w osłupienie, które wydawało się jak gdyby już śmiercią.

A pani i pan przy świetle małej lampki patrzyli z ogromnym współczuciem na tę bohaterską matkę, która dla ratowania rodziny umiera oto o sześć tysięcy mil od ojczyzny swojej, po tylu trudach, po tylu cierpieniach, taka zacna, taka dobra, a tak nieszczęśliwa.

*

Następnego dnia, wczesnym rankiem, ze swoją torbą na plecach, zgarbiony i kulejący, ale pełen otuchy w sercu, wchodził Marek do miasta Tucuman, jednego z najmłodszych i najbardziej kwitnących grodów Republiki Argentyńskiej.

I zaraz przypomniały się chłopcu jak żywe: Buenos Aires, Rosario, Kordowa, gdyż i tu były także same proste, niezmiernie długie ulice i także same, z obu ich stron, białe, niskie domy. Tylko że gdzie spojrzał, widział wspaniałą i świeżą roślinność, niebo głębokie, przeczyste, tak nieskalanego szafiru, jakiego nigdy i nigdzie i we Włoszech nawet nie oglądał; powietrze zaś, którym oddychał, miało precudny zapach pomieszanych kwiatów. Tak idąc spieszenie przez ulice czuł to samo gorączkowe wzruszenie, jakiego doznał w Buenos Aires. Drżał cały jakimś dziwnym, wewnętrznym dreszczem przyglądając się oknom i drzwiom domów i obrzucając badawczym spojrzeniem przechodzące niewiasty z jakąś trwożną nadzieją, że ujrzy swą matkę. Chciałby wszystkich o nią pytać, a przecież nie śmiał zatrzymać nikogo. Ci jednak, którzy go spotkali, zatrzymywali się na progach domów patrząc na biednego, obdartego, pokrytego kurzawą chłopca, na którym znać było, że idzie z jakiegoś niezmiernego daleka...

A on tymczasem upatrywał twarzy, która by go ośmieliła do trwożnych zapytań, kiedy mu wpadł w oczy szyld jakiegoś sklepu z włoskim nazwiskiem właściciela. W sklepie spostrzegł mężczyznę w okularach i dwie kobiety. Zbliżył się zwolna do drzwi i zebrawszy całą odwagę zapytał:

– Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu mieszka pan Mequinez?

– Pan inżynier Mequinez? – zapytał właściciel sklepu.

- Pan inżynier Mequinez – odpowiedział chłopiec drżącym głosem.
- Państwa Mequinez – rzekł właściciel sklepu – nie ma w Tucuman.

Krzyk rozpaczliwego bólu, jak gdyby z piersi przebitej nożem idący, był echem słów jego. Zerwał się kupiec, zerwały się kobiety, kilku przechodniów stanęło na trotuarze, kilku sąsiadów przybiegło.

- Co to? Co ci to, chłopcze? – pytał wystraszony kupiec prowadząc Marka do sklepu i sadzając go na krześle. – Dla Boga, nie ma desperować czego! Państwa Mequinez tu nie ma, ale są niedaleko, o kilka godzin od Tucuman...

- Gdzie? Gdzie? – zakrzyknął Marek i skoczył z krzesła jak gdyby wskrzeszony.

- Będzie z piętnaście mil stąd – mówił kupiec. – Na brzegu Saladilli, w tym miejscu gdzie budują wielką cukrownię i osadę przy niej. Tam teraz mieszka pan inżynier, wszyscy wiedzą o tym, a byleś tęgo nogi zbierał, będziesz tam w kilka godzin.

- Ja tam byłem miesiąc temu – rzekł jakiś młodzieniec, który na krzyk do sklepu podbiegł.

Marek spojrzał na niego prawie że wystraszonym wzrokiem i błędnie zapytał nagle:

- Czy pan tam widział służące państwa Mequinez, Włoszkę?

- Genuenkę? Widziałem.

Marek wybuchnął konwulsyjnym łkaniem, płacząc i śmiejąc się razem. I zaraz porwał się gwałtownie biec, pytając jedno przez drugie:

- Jak się idzie? Prędko! Jaką drogą? Na miłość Boską! Prędko! Zaraz muszę biec... Pokażcie mi drogę!...

- Ale to cały dzień trzeba tam iść! – mówili wszyscy razem. – Jesteś zmęczony... Musisz odpocząć do jutra. Jutro pójdziesz z rana.

- Nie mogę! Nie mogę! – wołał chłopiec. – Powiedzcie mi tylko, gdzie. Pokażcie! Ani chwili nie mogę czekać. Idę zaraz, choćbym miał paść... Drogę mi pokażcie!

Widząc go tedy tak zdecydowanym, nikt się już nie przeciwiał biednemu chłopczynie.

- Niechże cię Bóg prowadzi! – mówili. – A pilnuj się w drodze przez las. Szczęśliwej drogi, mały Włoszku!

Ów młodzieniec wyprowadził go z miasta, pokazał gościniec, udzielił kilku objaśnień i patrzył za nim, kiedy chłopiec ruszył. Po kilku chwilach mały wędrowiec, kulejący, z torbą na plecach, zniknął mu z oczu poza drzewami wysadzonymi z obu stron ulicy.

Noc, która w dniu tym zapadła, była okropną dla chorej. Biedna kobieta cierpiała straszliwe bóle, które jej wydzierały nieprzytomne jęki i wprawiały ją w szal jakiś chwilami. Osoby czuwające nad nią traciły głowę. Pani przybiegała przerażona, od czasu do czasu daremnie szukając, czym by ulżyć w męce. Wszyscy zaczęli się obawiać, że gdyby nawet chora zdecydowała się na operację, lekarz, który miał przybyć z Tucuman nazajutrz rano, mógłby już przybyć za późno.

Wszakże w chwilach, kiedy kobieta odyskiwała przytomność, można było poznać, że najcięższym jej cierpieniem była nie męka ciała, lecz męka duszy, mysi rozpaczliwa o dalekiej, dalekiej rodzinie. Błada, wycieńczona, z twarzą zmienioną chwytała się za włosy ruchem rozpacz, który przenikał serca.

– Boże mój! Boże mój! Umierać tak daleko! Umierać i nie widzieć nikogo, nikogo! O dzieci moje, o moje sieroty! O nieszczęsne sieroty wy moje! O Marku mój! Takie małe, takie dobre, takie kochające dziecko! Nie wiecie, wy ludzie, nikt nie wie, co to za kochające było dziecko! O, żeby pani wiedziała! Od szyi go sobie nie mogłam oderwać, kiedym odjeżdżała, a płakał!... Tak płakał, że mało mu serce nie pękło. Oj, wiedziałeś ty, wiedziałeś, sieroto, że matki nie zobaczysz więcej! Żem też ja wtedy trupem nie padła! Że się też wtedy Pan Bóg nie zmiłował i śmierci mi nie dał! Oj, żebym ja była tam padła przy tym żegnaniu! Żeby we mnie piorun Boży był trzasnął!

Bez matki... Takie dziecko... Takie serdeczne... takie kochające... A to tylko wisało przy mnie cały dzień... w sieroctwie... w nędzy zmarnieje to, na żebry pójdzie... Oj, dziecko moje wygłodniałe... rękę wyciągające po kawałek chleba... Och! Stwórco litościwy! Nie! Nie! Nie chcę umierać! Doktora! Wołajcie prędko doktora. Niech idzie, niech się spieszy, niech mnie kraje, niech ja zwariuję, ale niech mnie ocali! Chcę życia, chcę zdrowia, chcę za morza jechać, zaraz chcę do swoich... do dzieci... Ratujcie!... Ratujcie...

I wpadała w straszny szal rozpacz. Pilnujące kobiety chwytały ją za ręce, trzeźwiły, uspokajały, mówiły jej o Bogu, o ufności, aż zwolna, zwolna przychodziła do siebie zapadając w śmiertelne zgnębienie lub płacząc jak dziecko. A z piersi jej razem z tym płaczem dobywały się ciche jęki i westchnienia:

– O Genuo! O miasto moje... O mój domu... O ty, morze moje! O mój Marku! Gdzieżeś ty drogie, drogie dziecko!

Północ była. Marek wypocząwszy parę godzin na brzegu rowu zaczął iść przez ogromny las, przez puszcę zarosłą olbrzymimi drzewami, potworną roślinnością, pniami podobnymi do kolumn w jakiejś katedrze, które na niezmiernej wysokości spletały korony swoje, wysrebrzone księżycowym światłem. W półmroku tej gęstwy i miesięcznej nocy widział zastępujące mu drogę miliony drzew najrozlicniejszych kształtów, prostych, pochylonych, pokręconych, pokrzyżowanych, poplątanych z sobą w najdziwaczniejszych ruchach jak gdyby walki, zaczajenia, groźby.

Niektóre z pni, leżące na ziemi jak powalone bramy, pokryte były bujną roślinnością, która zdawała się być tłumem wydzierającym sobie każdą ich piędź w zażartym boju. Inne, ściśnięte i prostopadłe, zebrane w wielkie grupy wyglądały jak powięzie tytanicznych lanc, których ostrze przebijało chmury.

Jakaś pycha wielkości, jakiś cudowny zamęt olbrzymich kształtów, jakiś straszliwy i majestatyczny widok, na jaki natura rzadko tylko się zdobywa w wielkim swoim roślinnym państwie. Marek zatrzymywał się niekiedy w podziwieniu i osłupieniu, ale wnet dusza jego porывała się znowu ku matce. Szedł więc dalej, choć omdlewał ze znużenia, a stopy miał krwawe. Szedł sam, skrósł tej potwornej puszczy, gdzie tylko w rzadkich odstępach czasu spotykał nędzne, mrowiskom podobne siedziby ludzkie, przytulone do tych pni olbrzymich, i stada bawołów uśpione nad drogą. Omdlewający był, a nie czuł zmęczenia, sam był, a nie czuł bojaźni. Ta królewska potęga natury duszę mu podniosła. Bliskość matki dawała mu siłę i wytrwanie męskie, wspomnienie oceanu, przerażeń, zawodów, boleści przecierpianych i zwyciężonych, trudów podjętych i prac wykonanych, poczucie żelaznej i niezłomnej woli czoło jego podnosiło wysoko, wysoko! Wszystka jego szlachetna genueńska krew zalewała mu serce gorącą falą wielkodusznego męstwa.

I zaszła w nim jedna jeszcze rzecz niespodziewana. Ten obraz matki, który nosił w sercu i w myśli aż dotąd, obraz zamierzchny i wyblakły przez te dwa lata jej nieobecności, rozjaśnił mu się jakimś wielkim światłem wśród tych majestatycznych widoków natury. Ujrzał tę drogą twarz tak widną, tak czystą, jak gdyby patrzył na nią swymi oczyma, ujrzał ją bliską siebie, mówiącą, wzruszoną, rozróżniał każdy ruch jej oczu, jej ust, każdy gest jej ręki, każdy cień jej zamyślenia. I popchnięty wspomnieniami tymi, które prawie że mu się jawą stawały, przyspieszał, przyspieszał kroku. A serce rozplątało mu się w jakimś nowym, stokroć mocniejszym kochaniu, w jakiejś tkliwości niezmiernej, która wzbierała, wzbierała, aż uczuł płynące po twarzy łyzy słodkie i ciche. Więc idąc tak coraz dalej, mówił do niej słowa rzewne, gorące, jakie za czas mały powtórzyć jej miał w uścisku.

– Otom jest, matko ukochana! Otom jest przy tobie! Nigdy cię już nie opuszczę, nie zostawię samą. Razem powrócimy do domu! Na okręcie będę stał ciągle przy tobie, blisko, przez całe morze. Nikt nie oderwie mnie od ciebie. Nikt, nigdy, aż do końca życia mojego.

I nie spostrzegł się nawet, że ponad wierzchołkami tych drzew-olbrzymów srebrzyste światło miesięczne gasło w rozbieleniu wschodzącej jutrzenki.

O ósmej godzinie rano lekarz z Tucuman, młody Argentyńczyk, stał przy łożu chorej w towarzystwie asystenta i przekładał po raz ostatni konieczność operacji. Pan Mequinez i jego żona łączyli do rad lekarza gorące swe słowa. Wszystko jednak było daremne.

Kobieta czując się zupełnie wyczerpaną z sił nie wierzyła już w tę operację. Była pewna, że albo umrze w czasie jej trwania, albo przeżyje ją o kilka godzin, po wycierpieniu mąk stokroć straszniejszych niż te, które ją o śmierć naturalną drogą przyprowadzić miały.

– Ale operacja uda się jak najpewniej. Ozdrowienie wasze jest niezawodne. Więc odwagi trochę, odwagi! Bo i śmierć wasza równie jest niezawodna, jeśli odmówicie.

Ale słowa te, którymi lekarz starał się ją przekonać, były jak na wiatr rzucane.

– Nie! – mówiła słabym głosem. – Ja się nie boję śmierci, ale nie mam odwagi cierpieć bezużytecznie. Dziękuję panu bardzo, panie doktorze. Pan jest tak dobry, ale to już przeznaczone. Dajcie mi już umrzeć spokojnie!

Lekarz zniechęcony ustąpił. Nikt już o tym nie mówił więcej. Wtedy chora zwróciwszy twarz ku swojej pani polecała jej ostatnie prośby swoje zamierającym już głosem:

– Droga, dobra moja pani – mówiła z wielkim trudem. – Proszę posłać te trochę pieniędzy i te moje biedne odzież moje rodzinie przez pana konsula. Ufam, że żyją jeszcze. Serce moje mi to wróży w tych ostatecznych momentach. I niechże mi pani moja dobra tę łaskę uczyni i napisze, żem o nich zawsze myślała, żem dla nich zawsze pracowała, dla moich dzieci, i że najbardziej ze wszystkiego to mnie bolało, żem ich już zobaczyć nie mogła. I to, żem umierała odważnie, na Boga miłosiernego zdana i błogosławiąca dzieciom... I że polecam mężowi i starszemu synowi mego najmłodszego, mego biednego Marka, któregom miała w sercu do ostatniego tchu mego. A wtem, w nagłym uniesieniu i składając ręce:

– Marek mój! Dziecko moje! Życie moje!

Ale potoczywszy dokoła pełnymi łez oczyma spostrzegła, że pani już nie ma. Ktoś przyszedł i odwołał ją nagle. Oglądała się tedy za panem, ale i jego nie było. Przy łóżku jej stał tylko asystent i dwie posługaczki. Wszakże w pokoju obok słyhać było przyspieszone kroki, szmer rozmów prędkich, zmieszanych i powstrzymywane okrzyki. Chora utkwiała we drzwiach oczy gasnące – i czekała.

Po kilku minutach wszedł lekarz z twarzą zmienioną, po lekarzu pan i pani także silnie wzruszeni. Wszyscy troje patrzyli na chorą wzrokiem dziwnym i zamieniali z sobą wymowne słowa cichym głosem. Chorej zdawało się, że lekarz mówi do pani:

– Lepiej zaraz!

Nie rozumiała tego.

– Józefo! – przemówiła pani drżącym głosem. – Mam dobrą wiadomość dla ciebie. Przygotuj się w sercu na dobrą nowinę! Kobieta patrzyła baczenie na mówiącą.

– Na taką nowinę – mówiła pani coraz bardziej wzruszona – która ci sprawi wielką, wielką radość!... Oczy chorej rozszerzyły się nagle.

– Przygotuj się na to, że zobaczysz kogoś... pewną osobę... którą bardzo kochasz.

Kobieta silnym ruchem podniosła głowę i poczęła patrzeć płonącymi oczyma to na panią, to na drzwi...

– Osobę – mówiła pani blednąc, jakby sama zemdleć miała – która tylko co... przybyła... niespodziewanie.

– Kto przybył?! – zawołała kobieta głosem zduszonym, nieswoim, głosem śmiertelnie przerażonego człowieka. I nagle porwawszy się z pościeli z

przenikliwym krzykiem siadła nieruchoma, z oczyma szeroko otwartymi, z rękami podniesionymi do skroni, jakby wobec nadludzkiego widma. Marek, obdarty, okryty kurzawą, stał w progu podtrzymywany ramieniem lekarza.

Chora wydała trzykrotny, w jakieś wyżyny szału wznoszący się okrzyk:

– Boże! Boże! Boże mój!...

Rzucił się Marek. Chora wyciągnęła wychudłe ramiona i cisnąc głowę jego do swej piersi z konwulsyjną siłą, wybuchnęła gwałtownym śmiechem, przerywanym jakimś suchym, bez jednej łzy, łkaniem, które ją powaliło na pościel jak martwą. Ale zerwała się natychmiast i szalona ze szczęścia pokrywała głowę syna pocałunkami – także szalonymi.

– Jesteś?... Skąd?... Jak?... Dlaczego jesteś? Czy to ty? Jak urósł! Boże! Jakiś się tu dostał? Kto cię przyprowadził? Sam jesteś? Czyś nie chory? Czy to ty, Marku? Czy mi się tylko tak śni! Boże... Boże mój! Przemów! Mów do mnie!

I nagle zmieniając ton głosu:

– Nie! Nie mów nic! Nic... Czekaj! – Zwróciła się do doktora gwałtownie: – Prędko! Prędko, doktorze. Bo ja chcę być zdrowa! Ja muszę być zdrowa! Jestem gotowa. Niech pan ani chwili nic traci. Zabierzcie Marka... Niech Marek cię słyszy... I słodko do syna:

– Nic, Marku! Nic, dziecko! Mają mi coś powiedzieć. Ucałuj matkę. Idź! Doktorze, już... już...

Wyprowadzono chłopca.

Państwo Mequinez, posługujące kobiety, wszyscy wyszli pospiesznie. Został chirurg i asystent, który za nimi drzwi zamknął.

Pan Mequinez próbował zabrać z sobą Marka do oddalonego pokoju. Ale okazało się to niepodobnym. Chłopiec był jakby przygwożdżony do posadzki. Oczy jego stały się jakby obłąkane, usta mu drżały, chwiał się i ledwo mógł przemówić głośno:

– Co to?... Co jest mamie? Co oni tam z mamą robią? Więc pan Mequinez, ciągle usiłując go poprowadzić dalej, tak mówił z cicha:

– Słuchaj! Zaraz ci powiem. Matka twoja jest chora. Trzeba jej zrobić małą operację... Pójdź, to ci opowiem to wszystko! I pociągnął go za sobą.

– Nie! – odrzekł chłopiec opierając się. – Ja chcę tu być. Tu niech mi pan opowie.

Wtedy inżynier, opowiadając bezładnymi słowy niebywałe jakieś rzeczy, wprost ciągnąć go zaczął.

Chłopiec przeraził się i drżał cały.

Naraz krzyk przenikliwy, jak gdyby krzyk śmiertelnie ranionej osoby, rozległ się po całym domu.

Odpowiedział mu krzyk chłopca jak echo boleści:

- Umarła matka moja! Lekarz stanął we drzwiach:
- Twoja matka ocalona, chłopcze!

Marek patrzył na niego przez chwilę, a potem do nóg mu się rzucił z głośnym łkaniem:

- Dziękuję, panie doktorze, dziękuję! dziękuję... Ale doktor podniósł go i rzekł:
- Wstań, dziecko! To nie ja, to ty, mały bohaterze, ocaliłeś matkę!



ODWAGA CYWILNA

Punkt o dwunastej stanęliśmy z nauczycielem naszym przed ratuszowym gmachem, gdzie miano dawać medal chłopcu, który uratował towarzysza od utonięcia w Po.

Na frontowym tarasie powiewała wielka, trójkolorowa chorągiew. Weszliśmy dwójkami na dziedziniec. Pełno już się tam tłoczyło ludzi.

W głębi stół, czerwonym dywanem przykryty, na stole papiery, a za stołem rząd wyłaczanych foteli dla pana syndyka i dla panów radnych. Szwajcarzy municypalni, w niebieskich koletach i białych spodniach, otaczali tę przestrzeń pilnując porządku. Po prawej stronie dziedzińca stali miejscy gwardziści, każdy z medalami na piersiach, a przy, nich straż celna; z drugiej strony pompierzy w paradnych mundurach i dużo luźno stojących żołnierzy, którzy przyszli patrzeć: kawalerzyści, bersalierzy, artylerzyści.

A dookoła panie, panowie, robotnicy, kilku urzędników, proste kobiety, dzieci – a wszystko to jedno drugiemu patrzące przez głowę.

Wcisnęliśmy się w kąt, gdzie już było dużo uczniów z innych szkolnych sekcji z nauczycielami swoimi; a tuż przy nas stała spora kupka wyrostków, tak pomiędzy dziesiątym a osiemnastym rokiem, którzy śmiali się i mówili bardzo głośno, i znać było, że wszyscy są z przedmieścia nadrzecznego, znajomi i towarzysze chłopca, który miał dostać medal. A dookoła dziedzińca wszystkie okna zapchane głowami urzędników municypalnych. Nawet łoża nad biblioteką miejską była pełna ludzi, którzy się do balustrady cisnęli; w łoży zaś przeciwległej, tej nad bramą wchodową, cisnęły się uczennice szkół publicznych i „Córki żołnierzy” w pięknych swoich niebieskich welonach.

Cały dziedziniec wyglądał zupełnie jak teatr.

Wszyscy rozmawiali wesoło, co chwila poglądając ku czerwonemu stołowi, czy nikt się nie pojawił jeszcze. W głębi portyku orkiestra poczyniała grać z cicha. Wysokie mury stały w jasnym słońcu. Było pięknie.

Naraz wszyscy zaczęli klaskać. W dziedzińcu, w łożach, w oknach. Wspiąłem się na końce palców, żeby coś zobaczyć. Tłum, który się cisnął poza czerwonym stołem, poruszył się nagle, a z tłumu wystąpili naprzód jakiś mężczyzna i jakaś

kobieta. Mężczyzna trzymał za rękę chłopca. To był ten chłopiec, który ocalił kolegę. Mężczyzna zaś to był ojciec chłopca, mularz, w odświętnym ubraniu. Matka zaś chłopca to była ta kobieta niska, drobna, z włosami jasnymi i w czarnej sukni. Chłopiec, także blondynek i drobny, ubrany był w szarą kurteczkę. I stanęli tak wszystko troje patrząc na te tłumy ludzi, ogłuszeni tą burzą oklasków, onieśmieleni, nie wiedząc, co z sobą zrobić i jak się poruszyć. Szwajcar municypalny posunął ich z lekka ku stołowi, w prawo.

Ucichło wszystko na chwilę, po czym znowu wybuchły oklaski. Chłopczyzna poglądał po oknach, potem zadarłszy jasną główkę patrzył na łożę, w której stały „Córki żołnierzy”, obracał kapelusz w rękę i taką miał minę, jakby nie zdawał sobie sprawy, skąd się tu wziął i gdzie się znajduje. Był jakby troszkę podobny do Corettiego, ale rumiejszy w twarzy. Ojciec jego i matka trzymali oczy w stół utkwione.

Tymczasem wszystkie stojące przy nas wyrostki z nadrzecznego przedmieścia Popatrzyli się naprzód, kiwali na chłopca i dając znaki, żeby na nich spojrzął, wołali z cicha: „Pin... Pin... Pino!...” – póki nie usłyszał.

Odwrócił ku nim głowę, spojrzął i ukrył uśmiech, zakrywając usta kapeluszem.

A wtem strażę stanęły w pozycji. Wyszedł syndyk, a z nim wielu panów. Syndyk, zupełnie siwy, z trójkolorową, szeroką szarfą, stanął za stołem, panowie zaś nieco za syndykiem po obu jego stronach. Orkiestra przestała grać, syndyk dał znak, zrobiła się cisza.

Wtedy zaczął mówić.

Pierwszych słów nie dosłyszałem dobrze; ale m zrozumiał, że opowiadał postępek chłopca.

Potem głos jego wzmógł się i jasnym brzmieniem wypełnił tak dziedziniec cały, że słyhać było dobrze każde słówko.

– ... Kiedy zobaczył z brzegu kolegę, który walczył z falą, ogarnion już grozą śmierci, zerwał z siebie odzież i nie wahając się ani chwili na ratunek biegł.

„Utoniesz!” – krzyczano z brzegu. Nie odpowiadał. Chciano go przytrzymać – wyrwał się; wołano na niego po imieniu – był już w wodzie.

Rzeka była wezbrana, pędziła z szumem, straszliwe niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi w jej wzburzonych falach. On jednak rzucił się przeciw śmierci całą siłą swego drobnego ciała i swego wielkiego serca, pochwycił tonącego, który już pod wodą był, i wyciągnął nieszczęśnika za włosy, walcząc zajadle z falą, która w niego wściekle biła, i z uratowanym, który go się czepiał i ruchy jego tamował. To zniknął pod wodą, to z rozpaczliwym wysiłkiem dobywał się na powierzchnię, uparty w dziele swoim nie jak chłopiec chcący uratować drugiego chłopca, ale jak dojrzały mężczyzna, jak ojciec walczący śmiertelnym bojem dla ocalenia dziecka, które jest życiem jego i całą nadzieją.

Na koniec – Bóg nie pozwolił, żeby to męstwo tak szlachetne zostało daremnym. Mały pływak wydarł rzece jej drobną ofiarę i oddał ją ziemi, tam jeszcze na brzegu ratując z innymi małego topielca, po czym powrócił do domu sam, spokojny, z prostotą opowiadając rodzicom o całym zdarzeniu.

Panowie! Piękną, czcigodną jest rzeczą heroizm mężczyzny! Ale w dziecku nie znajdującym jeszcze ambicji ani jakichkolwiek pobudek osobistego interesu, w dziecku, które musi mieć o tyle więcej odwagi, o ile siły jego są słabsze, w dziecku, od którego nie wymagamy nic jeszcze i które do niczego nie jest obowiązane, które nam już dobrym i szlachetnym się wydaje, kiedy rozumie i uznaje poświęcenie innych – heroizm w dziecku takim jest czymś boskim.

Nic więcej nie powiem, panowie!

Nie chcę obniżać pochwałami tej wielkoduszności tak prostej. Oto macie tu przed sobą tego męznego wybawcę, tę świętą dziecinę.

Żołnierze! Powitajcie go jak brata!

Matki! Błogosławcie go jak syna!

Dzieci! Uczcie się imienia jego, wyryjcie sobie w sercach rysy jego twarzy, żebyście go już nie zapomnieli nigdy, nigdy.

Przybliź się, chłopcze!

W imieniu króla Włoch daję ci medal za cywilną odwagę!

Ogromny okrzyk wznoszonych głosów zatrzęsł murami gmachu, tysięcznym echem w nich odbity.

Syndyk wziął ze stołu medal i przypiął go chłopcu na piersiach, potem go objął i ucałował serdecznie.

Matka chłopczyny zasłoniła ręką oczy, ojciec stał ze spuszczoną głową. Syndyk uściskał rękę obojgu, a wręczwszy dekret królewski, dotyczący medalu tego i związany wstążką, podał go matce. Zwrócił się potem raz jeszcze do chłopca i rzekł:

– Niechaj wspomnienie dnia tego, który cię w oczach współobywateli chlubą okrywa, a jest dniem szczęścia dla ojca twego i dla matki twojej, niech to wspomnienie utrzymuje cię przez całe życie na drodze prawości i honoru!

Bądź zdrow, bohaterze mały!

Oddalił się syndyk, muzyka zabrzmiała i wszystko zdawało się skończone, kiedy spoza oddziału pompierów chłopczyna lat ośmiu lub dziewięciu może, popchnięty przez kobietę, która zaraz cofnęła się sama, rzucił się do udekorowanego i padł mu w ramiona.

Nowy grzmot oklasków wstrząsnął murami dziedzińca. Wszyscy zrozumieli od razu, że to uratowany dziękuje wybawcy swemu. Wycalowali się, uściskali, po czym ten mniejszy wziął chłopca z medalem za rękę i tak oni dwaj najpierw, a za nimi ojciec i matka skierowali się ku wyjściu torując sobie drogę wśród straży, gwardzistów, dzieci, kobiet, żołnierzy, pań i panów, którzy się rozstąpili przed nimi w dwa skrzydła, niemniej się pchając i wspinając jedni przez drugich, żeby tylko chłopca z medalem zobaczyć. Ci, co byli najbliżej, ściskali mu ręce. Kiedy przechodził koło uczniów szkół, wszystkie czapki wiewały w powietrzu. Ale ci z przedmieścia Po to już sami nie wiedzieli, co robić. Ciągnęli go za kurtkę, chwyтали za ramiona, wrzeszcząc jak opętani:

– Pin!... Brawo, Pin! Brawo, nasz Pino!

Ja go też widziałem z bliska, jak przechodził. Miał twarz rozpaloną, znać było, że szczęśliwy. Przy medalu widniała wstążeczka biała, czerwona i zielona.

Matka śmiała się i płakała razem, ojciec pomuskiwał wąsa, a ręka tak mu drżała, jak gdyby miał febrę.

A z góry, z okien, z balkonów leciały okrzyki i oklaski. Naraz, kiedy już mieli wejść pod portyk, spadł z łoża „Córek żołnierzy” prawdziwy deszcz kwiatków, fiołków, stokrotek na głowę chłopca, na głowy ojca, matki i ustał im jakby dywan pod nogi.

Rzuciło się wielu zbierać, podawali matce. A muzyka, tam w głębi, grała prześliczną pieśń, zupełnie jakby tysiące srebrzystych głosów śpiewało, oddalając się zwolna z szumem wielkiej rzeki.



PRZY ŁOŻU "TATY"

Pewnego ranka, w dżdżystym dniu marcowym, mały chłopiec w wieśniaczej odzieży, przemokły i zabłocony, z zawiniątkiem pod pachą, stanął przed odźwiernym „Szpitala Pielgrzymów” w Neapolu i zapytał o swego ojca podając list, który przyniósł z sobą. Chłopiec miał twarz pociągłą, smagłą, bladawą, z zamyślonymi oczyma i zawsze wpółotwartymi, grubymi wargami, przez które widać było bardzo białe zęby. Przyszedł z wioski leżącej w okolicach Neapolu. Ojciec jego wydaliwszy się z domu w roku zeszłym, żeby szukać zarobku we Francji, powrócił był do Włoch i mało co przedtem wylądował w Neapolu, gdzie niespodzianie złożony niemocą, tyle tylko miał czasu, żeby w paru słowach zawiadomić rodzinę o powrocie i o tym, że leży w szpitalu.

Żona jego, zrozpaczona tą wiadomością, a nie mogąc ruszyć się z domu, bo miała córeczkę słabą, a najmłodszą dziecinę na ręku, wysłała do Neapolu najstarszego synka, dawszy mu na drogę kilka soldów, żeby pilnował ojca, „tatusia”, jak tam mówią. I tak chłopczyna przywędrowała dziesięć mil piechotą i stanął w nieznanym mieście.

Odźwierny rzuciwszy na list okiem zawołał dozorcę chorych i powiedział mu, żeby zaprowadził małego do ojca.

– Do jakiego ojca? – zapytał dozorca. Chłopczyna drząc cały, żeby się nie dowiedzieć czego złego, powiedział nazwisko. Ale dozorca takiego nazwiska nie przypomniał sobie.

– Taki stary robotnik wędrowny? – zapytał.

– Robotnik – odrzekł chłopiec jeszcze bardziej załęczonym głosem – ale nie bardzo stary... Wędrowny robotnik... Tak.

– Kiedy przyszedł do szpitala? Chłopiec rzucił okiem na list.

– Z pięć dni temu będzie.

Dozorca stał chwilę drapiąc się w głowę, po czym jakby nagle przypomniawszy coś sobie:

– Aha! – rzekł. – Już wiem! Czwarta sala, łóżko w rogu.

– A czy bardzo chory?... Jak się ma? – zapytał trwożliwie chłopczyna. Dozorca spojrział na niego i nie odpowiedziawszy na pytanie rzekł:

– Pójdź ze mną!

Wstąpili na schody, przeszli szeroki korytarz i stanęli w otwartych drzwiach sali, skąd było widać łóżka ustawione we dwa długie rzędy.

– Pójdź! – powtórzył dozorca wchodząc.

Chłopiec zebrał odwagę i szedł za nim w prawo i w lewo rzucając wystraszone spojrzenia na mizerne, blade twarze chorych. Jedni z nich mieli oczy zamknięte i wyglądali jakby już nieżywi, inni patrzyli przed siebie błyszczącym od gorączki, przerażonym wzrokiem, jeszcze inni jęczeli i skarżyli się jak dzieci. Sala była mroczna, powietrze przesycone ostrą wonią lekarstw; dwie siostry miłosierdzia kręciły się około chorych z flaszeczkami w ręku.

Doszedłszy w głąb sali dozorca zatrzymał się przy jednym z łóżek, rozsunął firankę i rzekł:

– Oto twój ojciec!

Chłopak uderzył w płacz, wypuścił zawiniątko spod pachy i uchwyciwszy rękę chorego, bezwładnie na kołdrze leżącą, głowę do jego piersi przytulił.

Chory nie poruszył się nawet.

Podniósł się chłopczyna, popatrzył na ojca i znowu płaczem wybuchnął – a wtedy zwrócił na niego chory przeciągłe spojrzenie i zdawał się go poznawać.

Usta jego nie poruszyły się jednak. Biedny tata, jakże był zmieniony! Syn nigdy by go nie poznał.

Posiwiwały mu włosy, broda urosła, miał twarz spuchniętą, rozczwienioną, z naciągniętą silnie i błyszczącą skórą, usta zgrubiałe, oczy widne za ledwie, wszystkie rysy zupełnie zmienione. Tylko czoło i czarne łuki brwi zostały te same. Oddychał z trudem.

– Tatusiu! Mój tatusiu! – zawołał chłopczyna. – To ja! Czy mnie poznajesz, tato? Ja Szymuś, twój Szymuś... Przyszedłem ze wsi... mama mnie przysłała. Przyjrzyj mi się, drogi tatusiu! Przemów słowo!

Ale chory, popatrzwszy na niego uważnie, oczy zamknął.

– Tatusiu, co wam, tatusiu?!... Ja jestem synek wasz, Szymuś!... Wszakże chory nie poruszył się i tylko dyszał ciężko. Wtedy, płacząc, przysunął sobie chłopiec stołek, usiadł i czekał nie zdejmując oczu z twarzy ojca.

„Pewno doktor przyjdzie – myślał sobie – to mi co powie”. I pograżył się w smutnym rozmyślaniu przypominając sobie, jak to się ojciec w świat puszczał,

jak się żegnał z dziećmi na statku, jak go potem wyglądali wszyscy z dobrą myślą i jak przyszła wiadomość, że chory, i jak matka wtedy gorzko płakała...

I znów przychodziły mu na myśl straszne rzeczy. „Widział ojca swojego umarłym, matkę w żałobie, całą ich gromadkę w nędzy...

Długo tak siedział osłupiały, aż uczył lekkie dotknięcie ręki na ramieniu. Odwrócił się żywo: była to zakonnica.

– Co jest mojemu ojcu? Na co chory? – zapytał z pośpiechem.

– To twój ojciec? – zapytała zakonnica.

– Tak, ojciec... Przyszedłem ze wsi... Co mu jest? Na co on chory?

– Nie smuć się, chłopcze! Bądź dobrej myśli. Zaraz tu przyjdzie doktor.

I oddaliła się nic nie mówiąc więcej.

W pół godziny potem posłyszał dzwonek i ujrzał wchodzącego do sali doktora z asystentem swoim. Zakonnica i dozorca szli za nimi. Tak idąc przez długą salę zatrzymywali się przy każdym łóżku. Biednemu chłopcu zdawało się, że nigdy chyba do ojca jego nie dojdą, a za każdym krokiem lekarza trwoga jego rosła wraz z oczekiwaniem.

Nareszcie stanęli u sąsiedniego łóżka. Lekarz był starcem wysokim, przygarbionym nieco, a twarz miał poważną. Zanim się od owego łóżka oddalił, chłopczyzna powstał ze stołka, a gdy się lekarz do ojca jego zbliżył, nie mogąc leż powstrzymać, zapłakał.

Stary pan popatrzył na niego.

– To synek chorego – rzekła zakonnica – przyszedł ze wsi dziś rano. Lekarz położył chłopcu rękę na ramieniu, po czym pochylił się nad chorym, pomacał puls jego, dotknął czoła i zadał kilka pytań siostrze miłosierdzia, która odpowiedziała:

– Wszystko jak było...

Wtedy lekarz zamyślił się, po czym rzekł:

– Jeszcze to samo trzeba robić dalej... Tu chłopiec odważył się i zapytał drżącym głosem i z twarzą zalaną łzami:

– Co jest mojemu ojcu?

– Uspokój się, dziecko! – rzekł doktor kładąc mu znowu rękę na ramieniu. – Ojciec twój ma różę w twarzy. Niebezpieczna to rzecz, ale jest jeszcze nadzieja. Pilnuj go. Zostań przy nim. Twoja obecność ulgą jest dla niego.

– Ale kiedy mnie ojciec nie poznaje! – zawołał chłopiec zrozpaczonym głosem.

– Ale cię pozna. Nie bój się! Może cię jutro pozna. Miejmy nadzieję i bądź dobrej myśli.

Chłopiec chciałby się jeszcze o niejedno zapytać, ale nie śmiał. Tymczasem lekarz poszedł dalej, a on rozpoczął swoje czuwanie przy chorym.

Nie mogąc wiele pomóc poprawiał mu koldrę, dotykał delikatnie jego ręki, opędzał go z much, pochylał się nad nim za każdym stęknięciem, a kiedy siostra dawała choremu napój lub lekarstwo, odbierał od niej szklanke, łyżeczkę albo też je podawał.

Zdarzało się, że chory otwierał oczy i patrzył na niego; ale nie dał dotąd żadnego znaku, że go poznaje, chociaż spojrzenie jego zatrzymywało się na nim coraz dłużej, zwłaszcza gdy chłopiec płacząc chusteczką oczy zakrywał.

I tak przeszedł dzień pierwszy.

Noc przespał chłopczyna skulony na dwóch zestawionych w kącie sali krzesłach, a ledwo rozedniało, znów się zabrał do swojej posługi przy ojcu.

Dnia tego zdawało się, że spojrzenie chorego zaczyna być jakby przytomniejsze. Zdawało się, że pieszczotliwe słowa dziecka budzą jakiś błysk wdzięczności w jego źrenicach. Poruszył raz nawet wargami, jak gdyby coś chciał powiedzieć.

Kiedy po krótkim osłupieniu znów otworzył oczy, zdawało się, że wzrok jego szuka małego dozorczy.

Doktor był tego dnia dwa razy przy chorym i zauważył w stanie jego nieco polepszenia. Pod wieczór, zbliżając do nabrzmiątych ust ojca lekarstwo, spostrzegł chłopczyna jak gdyby lekki uśmiech na nich. Nabrał więc ducha i dobrej nadziei. Zaraz też spodziewając się, że chory słowa jego coś niecoś zrozumie, zaczął mu opowiadać o matce, o małych siostrzyczkach, o tym, jak to oni powrócą obaj do domu, i zaklinał ojca, żeby był dobrej myśli, głosem wzruszonym i w pełnych miłości wyrazach. A choć chwilami wątpił, czy jest rozumiany, mówił przecież, bo mu się zdawało, że chory, nie rozumiejąc go nawet, z jakąś ulgą i przyjemnością słucha głosu jego, w którym drżało głębokie przywiązanie, smutek – i nadzieja. I tak przeszedł dzień drugi i trzeci, i czwarty, wśród małych polepszeń, pogorszeń nagłych; a chłopiec tak był swoim zajęciom oddany, że ledwie dwa razy na dzień przełknął kawałek chleba z serem, który mu przynosiła zakonnica, i prawie że nie widział i nie słyszał, co się w sali dzieje; ani umierających, ani pośpiesznych kroków sióstr wśród nocy, ani łkania rozpaczliwego tych, co odchodzili stąd od bliskich swoich bez nadziei żadnej, ani tych wszystkich bolesnych i strasznych scen życia szpitalnego, które w innych okolicznościach przykułyby go do ziemi niewymowną zgrozą.

Godziny i dni przechodziły, a on był ciągle tam, przy swoim tatusiu, baczny, staranny, drżący za każdym westchnieniem chorego, za każdym jękiem jego; żyjąc pomiędzy nadzieją, która mu dodawała siły, a zwątpieniem, które mu mroziło serce.

Ale piątego dnia uczyniło się choremu nagle gorzej.

Doktor przyszedł, popatrzył i zwiesił głowę, jakby chciał rzec, że wszystko skończone, a chłopczyna padł na stołek wybuchając łkaniem.

Wyplakał się biedak, po czym rozmyślać począł. Pocieszała go rzecz jedna. Bo przy pogorszeniu tym nawet zdawało mu się, że chory jest jakby

przytomniejszym. Coraz bardziej patrzył na chłopca, z coraz widoczniejszym rozrzewnieniem; ani lekarstwa, ani napoju nie chciał brać, jak tylko od niego, i coraz częściej poruszał z wysiłkiem ustami, jakby chciał przemówić, a nieraz czynił to tak wyraźnie, że syn chwycił jego rękę, podniecony nagłą otuchą, i wołał radośnie:

– Tatusiu! Drogi tatusiu! Niedługo już będziesz zdrowy! Wrócimy na wieś, do domu, do mamy!... Będziemy się cieszyli wszyscy! Niedługo!... Niedługo!... Była czwarta z południa, kiedy właśnie w takim przystępie rozczulenia i radosnej nadziei chłopiec posłyszał nagle u najbliższych drzwi sali kroki ciężkie i silny głos, który mówił:

– Żegnam siostrę!

Były to tylko dwa słowa, a przecież chłopiec drgnął cały, a głos mu zamarł w piersiach.

W tejże chwili wszedł do sali człowiek z dużym zawinięciem w rękę, a za nim weszła zakonnica.

Chłopiec krzyknął przenikliwie, porwał się, lecz jakby wrósł w ziemię. Człowiek obejrzał się, popatrzył przez chwilę i krzyknawszy gwałtownie: – Szymuś! – rzucił się ku niemu. Malec padł w ramiona ojca łkając, bez tchu prawie.

Zakonnice, dozorczy, asystenci zbiegli się i stali zdumieni. Chłopiec nie mógł przemówić ni słowa.

– Mój Szymuś! Mój Szymuś! – powtarzał ojciec i patrzył nie rozumiejąc na łóżko chorego, i znów syna ścisnął i całował. – Powiedźże mi – rzekł wreszcie – co to wszystko znaczy? Przecież ciebie zaprowadzili do innego łóżka! A ja sypiać po nocach nie mogłem, bo tu matka pisze: „Posyłam go” a ciebie nie ma i nie ma. Odkądżeś ty tutaj, chłopcze?... Jak się to stać mogło?... A ja ledwom się wygrzebał!... Ale teraz, ho! ho!... A mama? A Kostusia? A braciszek? Jakże się mają?... Ale po co my tu jeszcze w szpitalu! Pójdźmy, chłopcze! Jezus, Mario! Kto by to powiedział!...

Nareszcie chłopiec ochłonął i opowiedział naprędce o domu, o rodzinie, po czym rzekł:

– Jakim ja szczęśliwy! Jaki szczęśliwy! Jakże to smutne dni były! Jakie ciężkie!
– I znowu całował ojca oderwać się od niego nie mogąc. Ale jednak nie ruszał się z miejsca.

– No to pójdźmy! – rzekł ojciec. – Jeszcze tej nocy zajdziemy do domu. Pójdź!

I wziął chłopca za rękę. Chłopiec odwrócił głowę i na chorego patrzył.

– No! Idziesz, czy nie idziesz? – zapytał ojciec zdziwiony. Chłopiec raz jeszcze na chorego spojrział, a ten w tymże momencie otworzył oczy i też na chłopca patrzył. A wtedy potok słów rzucił się chłopcu do ust z głębi duszy:

– Nie, tato! Zaczekaj... Nie mogę... Ten starzec, widzisz... Od pięciu dni jestem przy nim. Ciągle patrzy na mnie... Myślałem, że to ty... Pokochałem go. Widzisz, jak patrzy na mnie... Dawałem mu pić, byłem ciągle przy nim... On bardzo chory... Miej cierpliwość, tato! Ja nie wiem... Ja nie mogę... Ja nie mam serca

odejść tak od niego... Zostawić... Jutro do domu wrócę... Trochę jeszcze pobędę przy nim tutaj. Widzisz, jak patrzy ciągle... Nie wiem, kto jest, ale gdyby tak umarł... sam miałbyś żal do mnie... Pozwól mi zostać przy nim, tato, pozwól!...

– Dzielny malec! – zawołał asystent.

A ojciec stał, niepewny, co czynić, patrząc to na syna, to znów na chorego.

– Co to za jeden? – zapytał wreszcie asystenta.

– Wieśniak jak i wy. Tak samo jak wy wracał z wędrówki i tegoż dnia do szpitala zapisany został. Przynieśli go bezprzytomnego. Nie przemówił dotąd. Może i on ma gdzieś rodzinę, dzieci. Może mu się zdawało, że wasz chłopiec to jedno z dzieci jego.

A gdy tak mówił asystent, chory patrzył na chłopca wyteżonym wzrokiem.

– To zostań! – rzekł ojciec do Szymusia.

– Nie na długo już... – szepnął z cicha asystent.

– Zostań! – powtórzył ojciec. – Masz dobre serce, chłopcze! Ja zaraz idę do domu, żeby pocieszyć jak najprędzej matkę. Masz tu talara na swoje potrzeby. Bądź zdrow! Bądź zdrow, dobre dziecko!

Uściskał go, popatrzył na niego z rozrzewnieniem, raz jeszcze ucałował go w czoło i poszedł.

Chłopiec zbliżył się do łóżka, a chory patrzący dotąd niespokojnie zdawał się uciszać w uczuciu błogości i pociechy.

Tak tedy Szymuś powrócił do swego zajęcia dozorczy nieznanego starca, nie płacząc już, ale z tą samą baczną tkliwością, z tym samym wytrwaniem, co i przedtem. I znowu poprawiał mu kołdrę, znowu głaskał jego rozpaloną rękę i słodkimi słowy pocieszał go, dodawał odwagi. I tak go pilnował przez dzień ten cały i na tę noc przy łóżku jego pozostał, i przez dzień następny.

Ale choremu było coraz gorzej. Twarz jego posiniała okropnie, oddech był utrudniony, rzucał się, wydawał niezrozumiałe okrzyki, a wzrastająca puchlina czyniła go strasznym.

Podczas wieczornej wizyty swojej powiedział doktor, że biedak nie przeżyje nocy. A wtedy Szymuś podwoił starania i oczu nie spuścił z niego. Chory też patrzył a patrzył na chłopca i od czasu do czasu poruszał wargami, jakby coś chciał rzec, a wyraz niezmiernej czułości błyskał wtedy w jego rozszerzonych źrenicach, które jakby uciekały w czaszkę.

I tej nocy także chłopiec go nie odstępował ani na chwilę, póki świt nie zaczął szarzeć w oknach i nie pojawiła się na sali siostra.

Zaledwie jednak siostra podeszła do łóżka i rzuciła na chorego okiem, natychmiast poczęła wołać lekarza dyżurnego i dozorcę, który przyniósł światło.

Zbliżył się lekarz dyżurny, spojrzął i rzekł:

– Kona.

Wszyscy milczeli. Chłopiec ujął rękę chorego, jakby go chciał od śmierci bronić. Chory otworzył na chwilę oczy, spojrział na niego i znowu je zamknął. Ale chłopcu zdawało się, że w tej krótkiej chwili czuje uścisk jego ręki.

– Ścisnął mi rękę! – zawołał.

Lekarz pochylił się nad chorym, słuchając jego oddechu, po czym wyprostował się zwolna. Zakonnica zdjęła krucyfiks ze ściany.

– Umarł! – krzyknął z boleścią chłopczyzna.

– Idź, dziecko! – rzekł lekarz. – Twoja święta praca już skończona. Idź i bądź szczęśliwy, bo zasługujesz na to. Niech cię Bóg błogosławi. Bądź zdrow!

Ale siostra, która się oddaliła przed chwilą, podeszła do Szymusia trzymając bukietek fiołków, wyjęty ze stojącego na oknie kubka.

– Nie mam ci co dać, dziecko! – rzekła. – Weź chociaż te kwiatki na pamiątkę ze szpitala.

– Dziękuję! – odpowiedział, biorąc bukietek jedną ręką, a drugą ocierając oczy.
– Ale ja mam tak daleko iść, że zgubiłbym go w drodze...

I rozwiązawszy kwiateczki posypał je po łóżku, przy którym stali, mówiąc:

– Zostawię je memu biednemu zmarłemu...

I zaraz żegnać się począł.

– Dziękuję, siostrze! Dziękuję, panie doktorze!

Wtem zwrócił się do zmarłego:

– Żegnam cię... – i urwał szukając w myśli, jakby go tu nazwać. A wtedy wprost z serca przyszło mu na usta słodkie imię, którym go przed pięciu dniami w łzach witał...

– Żegnam cię, biedny tatusiu!

I wziął swoje zawiniątko pod pachę i wolnym krokiem wyszedł ze szpitalnej sali.

Świtało.



ROZBICIE OKRĘTU

Przed kilku laty, pewnego grudniowego ranka, wypłynął z Liverpoolu wielki okręt parowy, na którego pokładzie znajdowało się więcej niż dwieście osób, między którymi było siedemdziesięciu ludzi załogi. Tak kapitan, jak i wszyscy prawie marynarze byli Anglikami.

Wśród pasażerów zaś było nieco Włochów: trzy panie, ksiądz i kilku muzykantów. Okręt udawał się do wyspy Malty. Czas był pochmurny. Wśród podróżnych trzeciej klasy, zebranych na przodzie pokładu, znajdował się dwunastoletni chłopiec, Włoch rodem, mały na swój wiek, ale silny, piękny typ sycylijski, z surową i odważną twarzą.

Chłopiec siedział sam, nie opodał przedniego masztu, na kupie lin okrętowych, obok małej wyszarzanej walizki, w której miał swoje rzeczy i na której trzymał rękę. Był śniady, włosy miał czarne, wijące się i tak długie, że mu prawie na ramiona spadały. Odziany był ubogo, w jakąś obdartą kurtkę, a na szyi miał starą torbę skórzaną. Siedząc tak patrzył zamyślony na pasażerów, na okręt, na marynarzy przebiegających obok niego z pośpiechem i na morze, które coraz niespokojniejszym się stawało. A wyglądał ów chłopiec tak, jakby świeżo przeżył jakieś wielkie nieszczęście rodzinne; twarz dziecka miała wyraz dojrzałego człowieka.

Wkrótce po wypłynięciu z portu jeden z majtków okrętowych, Włoch z siwą już głową, ukazał się na przedzie okrętu prowadząc małą dziewczynkę za rękę i zatrzymawszy się przed Sycylijczykiem rzekł:

– Masz tutaj towarzyszkę podróży, Manio! – Po czym odszedł. Dziewczynka siadła na kupie lin, obok chłopca, i oboje na siebie patrzyli. Mały Sycylijczyk zapytał:

– Gdzie ty jedziesz?

A dziewczynka:

– Do Malty, a stamtąd do Neapolu. – I dodała: – Do ojca jadę i do matki, bo oni tam są i czekają na mnie. A ja jestem Julieta Faggiani.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Po jakimś czasie wydobył z torby chleb i suszone owoce, dziewczynka miała biszkopty, więc jedli.

– Bacność! – krzyknął włoski marynarz przechodząc z pośpiechem. – Zaraz się tu taniec zacznie!

Jakoż istotnie wiatr się wzmógł, a okręt kołysał się gwałtownie. Ale siedzące na linach dzieci nie bardzo na to zważały. Dziewczynka uśmiechała się. Była ona prawie w tym samym wieku co i jej towarzysz, ale znacznie od niego wyższa. Była smagła, brunetka, szczupła, wątła i mniej niż skromnie ubrana. Włosy miała kędzierzawe, krótko obcięte, czerwoną chusteczką związane dokoła głowy, i srebrne duże koła w uszach.

Jedząc opowiadali sobie swoje losy.

Chłopiec nie miał już ani ojca, ani matki! Ojciec, robotnik, umarł niedawno w Liverpoolu, zostawiając go samego na świecie, a konsul włoski odsyłał go właśnie do Palermo, gdzie mały sierota miał dalekich krewnych.

Dziewczynkę zabrała z sobą do Londynu przed rokiem ciotka, wdowa, która ją bardzo kochała i której rodzice oddali ją na jakiś czas licząc na obiecaną sukcesję, ale w kilka miesięcy potem przejechał ciotkę omnibus i umarła nie

pozostawiwszy po sobie ani szeląga. Dziewczynce poradzono także udać się do konsula. Konsul się nią zaopiekował i oto ją do rodziców odsyła.

Oboje poleceni zostali owemu Włochowi, który do załogi okrętu należał.

– Więc tam ojciec i matka – kończyła dziewczynka – myślą, że ja z majątkiem wrócę, a ja nie mam nic. Ale i tak będą mnie kochali. A moi bracia! Czterech braci mam, takich małych, malutkich... Ja najstarsza w domu. Ubieram ich, myję. Okropnie się ucieszą! A ja po cichutku na palcach wejdę...

Jakie morze brzydkie!... – Potem nagle do chłopca: – A ty będziesz tam u tych krewnych?

– Będę... Jeśli mnie zechcą trzymać – odrzekł.

– A oni cię nie kochają?

– Czy ja wiem?

– Ja na Boże Narodzenie zacznę trzynasty rok – przemówiła dziewczynka.

I zaraz zaczęli mówić o morzu, o podróżnych, którzy ich otaczali. Tak przesiedzieli przy sobie dzień cały gawędząc od czasu do czasu. Pasażerowie myśleli, że to brat i siostra. Dziewczynka robiła pończochę, chłopiec rozmyślał, morze stawało się burzliwszym coraz. Kiedy się rozchodzili wieczorem, dziewczynka rzekła:

– Śpij spokojnie!

– Nikt tu, moje dzieci, nie będzie spokojnie spał! – rzekł przebiegając ów włoski marynarz, którego wzywał kapitan. Chciał właśnie chłopiec odpowiedzieć małej towarzysze: „Dobranoc!” – kiedy gwałtowny strumień wody chlusnął na niego z nienacka i powalił go na ławkę.

– Jezus Maria! Krew leci! – krzyknęła dziewczynka rzucając się do malca.

Pasażerowie schodzący spieszenie pod pokład nie zauważyli tego. Dziewczynka uklękła przy chłopcu, który był ogłuszony tym nagłym upadkiem, obtarła mu zakrwawione czoło i zdjawszy prędko swoją czerwoną chusteczkę usiłowała jak najmocniej obwiązać mu głowę.

Gdy ją wszakże przycisnęła do piersi, aby ścisnąć lepiej oba końce chustki, na żółtej jej sukieneczynie, nad paskiem, została krwawa plama. Manio ocknął się i podniósł się po chwili.

– Czy cię boli? – zapytała Julieta.

– Nic mnie nie boli!

– Dobranoc ci!

– Dobranoc – odpowiedział Manio.

I zeszli po dwojgu obocznych schodkach do swoich sypialni.

Stary marynarz dobrze przepowiedział. Jeszcze dzieci nie posnęły, kiedy się rozpętała straszliwa burza. Ogromne bałwany tak gwałtownie natarły na okręt, że w parę minut jeden z wielkich masztów powalony został, trzy łodzie ratunkowe, z tych które były uciepione w tyle okrętu, fale uniosły jak liście, a szturmujące okręt morze zmiotło cztery woły z przedniego pokładu.

Pomiędzy pasażerami zrobił się okrutny zamęt. Krzyki przerażenia, rozpacz, płacz, modlitwy buchnęły jak druga burza. Włosy stawały na głowie słuchając ich. Morze wrzało. Nawałnica noc całą szalała wzmagając się ciągle na sile. Dniało już, a ona jeszcze rosła. Olbrzymie fale bijące w statek z ukosa, zalewały pokład tłukąc, łamiąc i zmiatając w otchłań, co tylko na nim było.

Platforma pokrywająca maszynę była zgnieciona, a woda nalewała się do wnętrza ze straszliwym hukiem; ognie pogasły, maszyniści uciekli pod pokład przed niechybną śmiercią; szerokie strugi wdzierały się zewsząd.

Wtem grzmiący głos krzyknął:

– Do pomp!

Był to głos kapitana, marynarze rzucili się do pomp. Ale w tejże chwili nagłe uderzenie fal przechyliwszy okręt w tył zgruchotało poręczę i drzwiczki kajut, a woda strumieniem wlewać się do nich poczęła. Pasażerowie w śmiertelnym przestachu zebrali się w wielkiej sali. Wtem kapitan ukazał się w proggu.

– Kapitanie! Panie kapitanie! – krzyknęli wszyscy razem. – Co się dzieje?... Co się z nami stanie?... Czy jest nadzieja? Czy jest ratunek?...

Kapitan przeczekał, aż się krzyk uciszył, a potem zimnym głosem rzekł:

– Trzeba się poddać losowi.

Jakaś kobieta krzyknęła: – Litości! – Był to jedyny okrzyk.

Nikt inny głosu dobyć nie mógł. Zgroza ścisnęła wszystkie gardła. Minuty przechodziły, w wielkiej sali śmiertelna panowała cisza.

Ludzie patrzyli na siebie zbolałą z przerażenia twarzą. A morze tymczasem szalało. Okręt pogrążyć się zaczął.

W jakiejś chwili kapitan próbował spuścić łódź ratunkową. Pięciu marynarzy wstąpiło w nią, barka została odcięta. Natychmiast jednak przechyliła ją gwałtowna fala i dwóch marynarzy poszło na dno. Jednym z nich był stary Włoch, opiekun dzieci. Pozostałym udało się z wielkim trudem zarzucić sznury na okręt i dostać się na niego z powrotem. Po tej śmiertelnej próbie załoga straciła nadzieję.

W dwie godziny potem okręt był zalany wodą aż do wysokości osady głównego masztu. Pod pokładem tymczasem rozgrywały się rozzwierające sceny.

Matki rozpaczliwie tuliły dzieci swe do łona, przyjaciele padali sobie w objęcia i żegnali się, niektórzy schodzili do kajut, by tam umierać nie patrząc na rozpętane i huczące morze. Jeden z podróżnych roztrzaskał sobie czaszkę z pistoletu i skonał na schodach sypialni. Ludzie czepiali się konwulsyjnie jedni drugich, kobiety mdlały i wpadały w szal nieopisany.

Wielu klęczało dokoła księdza wznosząc ku niemu złożone do modlitwy ręce. Krzyk, jęki, płacz dzieci, łkania, głosy dzikie, ostre tworzyły jakiś chór piekielny, jakąś symfonię rozpacz, a tu, to tam, stali ludzie nieruchomi jak posągi, z rozszerzonymi źrenicami, które nie widziały nic, z twarzami szaleńców i trupów.

Ale dwoje dzieci. Manio i Julieta, trzymając się co siły jednego z okrętowych masztów patrzyły w morze osłupiałym wzrokiem jakby nieprzytomne.

Morze zaczęło się uspokajać wreszcie, ale okręt zanurzał się zwolna coraz głębiej. Kilka minut zaledwie i musiał zniknąć pod wodą.

– Spuszczaj szalupę! – krzyknął kapitan.

Spuszczono ostatnią szalupę, jaka pozostała. Czternastu marynarzy i trzech podróżnych w nią zeszło. Kapitan patrzył z pokładu.

– Kapitanie! Schodź z nami! – krzyczano na niego z szalupy.

– Zginę na stanowisku!... To powinnośc moja! – odkrzyknął kapitan.

– Spotkamy jakiś statek! Ocalimy cię! Schodź! Ratuj się! – wołali marynarze.

– Zostaję tutaj!

– Jest jeszcze miejsce! – krzyknęli wtedy marynarze zwracając się do pasażerów. – Niech zejdzie kobieta! – Zbliżyła się kobieta, podtrzymywana przez kapitana, ale zobaczywszy odległość, w jakiej się znajdowała szalupa, nie mogła odważyć się na skok i padła na pokład zemdlona.

Inne kobiety były bezprzytomne i na wpół nieżywe.

– Dawać dziecko! – krzyczeli teraz marynarze.

Na ten krzyk mały Sycylijszyk i towarzyska jego, jakby skamieniali dotąd od nadludzkiej zgrozy, wstrząśnięci gwałtownym instynktem życia, puścili drzewo masztu w tym samym momencie i rzuciwszy się na brzeg pokładu wrzasnęli jednym głosem: – Ja!... Ja!... – odtrącając się wzajem od zejścia jak dzikie zwierzęta.

– Mniejsze! – krzyczano z szalupy. – Łódź jest przeładowana! Mniejsze!

A na ten krzyk dziewczynka opuściła ręce jak trafiona gromem i stanęła nieruchoma patrząc na Mania martwymi oczyma.

Manio spojrział na nią i zobaczył krwawą plamę na żółtej sukience. Przypomniał sobie i jakiś błysk niebiański przeleciał mu po twarzy.

– Mniejsze! Prędezej! – wołali marynarze z najwyższą niecierpliwością.– Odbijamy!

A wtedy Manio krzyknął jakimś dziwnym głosem:

– Ona lżejsza! Schodź, Julieto! Masz ojca i matkę. Ja sam. Oddaję ci miejsce. Schodź!

– Rzucić ją w wodę!... Złapiemy!

Manio chwycił ją wpół i rzucił w morze. Wrzasnęła dziewczynka i zanurzyła się z głową. Ale w tejże chwili jeden z marynarzy chwycił ją i wciągnął na łódź.

Chłopiec stał wyprostowany na brzegu pokładu, z czołem podniesionym, z włosami rozwianymi przez wiatr, stał nieruchomy, spokojny, wzniosły.

Plusnęły wiosła. Szalupa miała zaledwie czas oddalić się od niebezpiecznego leja, jaki tworzył okręt idący pod wodę, a który łatwo mógł ją wciągnąć w przepaść.

Wtedy dziewczynka, dotąd bezprzytomna jakby, podniosła oczy ku chłopcu i wybuchła płaczem.

– Żegnaj, Manio! – krzyknęła wyciągając ręce ze łkaniem. – Żegnaj! Żegnaj!

– Bądź zdrowa! – odkrzyknął chłopiec podnosząc rękę.

Barka zaczęła się oddalać z pośpiechem, skróś wzburzonego morza pod zamroczonym niebem.

Na okręcie ucichło wszystko.

Woda zatapiała już ostatni skrawek pokładu.

Nagle chłopczyzna upadł na kolana ze złożonymi rękami i oczy wzniosł w niebo.

Ocalona dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Kiedy ją podniosła i powiodła wzrokiem po morzu dokoła, okrętu nie było już na nim.



Książka pobrana ze strony

<http://www.ksiazki4u.prv.pl>

lub

<http://www.ksiazki.cvx.pl>